Nr. 47. Warszawa, dnia 21 (9) Listopada 1891 r. Rok XI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

JADOWITE DRZEWO.

Jeżeli kult Złotego Cielca wogóle żyje z rozkładu moralnego i rozkład moralny wytwarza, to jednak znikąd nie wysysa on tyle zgnilizny, ile z giełdy. Instytucya ta, która rzeczywiście jest niezbędnem ogniskiem interesów pieniężnych i handlowych, jako miejsce gry stanowi najpotworniejszą jaskinię szachrajstwa. Oburzamy się na Monaco, na przybytki ruletowego hazardu, ale czemże one są wobec wielkich giełd europejskich! Tam głupcy, próżniacy lub ciekawi tracą stawki pod kołami fortuny, która ich gniecie lub wypróżnia im kieszenie, w każdym razie wyrządza szkody jednostkowe i tylko stającym do walki; tu banda spekulantów trzęsie majątkiem całych narodów, zmniejsza go i powiększa nieraz według upodobania, rujnuje miliony niewinnych ludzi. Każdy niemal dzień przekonywa nas o tem. Nieustanna walka „zwyżkowców“ ze „zniżkowcami“ tak demoralizuje obie strony, że one nie gardzą najpodlejszym środkiem, kłamstwem, potwarzą, plotką, sfałszowanym telegramem, aby tylko osiągnąć „kurs“ pożądany. W zeszłym tygodniu cesarz austryacki przyjmował prezesa Koła galicyjskiego w sprawie kolei żelaznych. Jeżeli pokątny doradca może porozumieć się z klientem bez świadków; jeżeli najskromniejszy człowiek może w pokoju z zamkniętemi drzwiami powiedzieć coś poufnie gościowi, to chyba monarcha posiada środki zabezpieczenia tajemnicy swych rozmów. Mimo to nazajutrz jedna z gazet wiedeńskich podała treść pogadanki cesarza z Jaworskim, włożywszy pierwszemu z nich w usta takie słowa, od których giełda drżeć zaczęła. Był to wszakże popłoch przez nią przygotowany dla „baissy.“ Wkrótce kłamstwo zostało odwołane, ale ilu ludzi przytem poniosło ciężkie straty?

Nasza giełda warszawska, która pływa z wodą a dmucha z wiatrem, która żadnych wielkich operacyj nie dokonywa, a głównie zbiera się codzień po to, ażeby pokornie odebrać rozkazy, objawione jej drutem telegraficznym z Berlina — nie daje nam pojęcia, czem są podobne instytucye w stolicach Europy. Tam rozgrywają się wielkie bitwy finansowe i dokonywają olbrzymie szachrajstwa, tam walczą z sobą tytani pieniężni i namiętności zgniłe. Znaczna ilość dzienników, żyjących z tego „jadowitego drzewa,“ broni go, ale niezależne oddawna domagają się siekiery, zwłaszcza ile razy na tem drzewie zawiśnie jakiś zrozpaczony oszust i pociągnie za sobą gromadę biedaków, którzy mu powierzyli swoje oszczędności. Gracze giełdowi wspinają się na szczyt bogactwa tak, jak podróżnicy na wierzchołek stromej góry — połączeni linką wspólnych interesów. Gdy jeden z nich spadnie w przepaść, ściąga w nią innych. Od pierwszych dni listopada rozpoczął się w Berlinie „krach,“ który trwa dotąd. „Solidne firmy,“ do niedawna rozkazujące światu, ile marek ma płacić za gulden lub rentę włoską, zapadały się jak najzwyklejsze budy szwindlarskie, a każda z nich pochłonęła setki tysięcy lub miliony marek. Są bankructwa, które przynajmniej ze stanowiska etyki handlowej usprawiedliwić można. Ale te niemieckie „runy,“ mówiąc językiem giełdowym, odsłoniły najrobaczywszą stronę „jadowitego drzewa.“ Przedewszystkiem te „czcigodne domy“ zagrzebały w swych gruzach depozyty, między którymi znajdowały się oszczędności ludzi biednych i fundusze instytucyj dobroczynnych. Kruk oskubał nie kruka, ale obdarł ze skóry niewinne ptaki. Na co? Jeden grał na giełdzie nieszczęśliwie i pokrywał „różnice“ pieniędzmi, danemi mu do przechowania. Drugi potrzebował rocznie na wille, utrzymanki, rozpustę, żarłoctwo i pijaństwo 600,000 marek, których mu własny majątek nie dostarczał, więc łotr czerpał z cudzej, nieopatrznie przed nim otwartej kieszeni. Największy z tych nikczemników, Wolff, miał na balkonie swoje nazwisko ułożone ze złotych liter. Razu pewnego podczas gry w karty upadła mu pod stół tysiącomarkówka; ostrzeżony przez partnera, odrzekł pogardliwie: szkoda trudu schylać się. Zważmy, ile choroby mieści się w łonie dzisiejszego społeczeństwa, jeśli takie jego pasorzyty, takie potworne polipy, które tylko cudzą pracę wysysają, mogą i „potrzebują“ wydawać pół miliona marek rocznie dla zachowania w rozkosznym bycie swojej szanownej istoty! Ci nędznicy, których natura przeznaczyła do najniższych robót, którzy powinniby swoje ambicye zadawalać w zamiataniu ulic lub kopaniu rowów, żądają, ażeby gromady ludzkie pracowały dla zapewnienia im zbytku. W świecie obłędu nie mogłoby być więcej szaleństwa.

W całych Niemczech zapanował straszny zamęt. Jęczą odarci przez bankrutów, trwożą się posiadacze zastawów u innych bankierów, niemogący odebrać swych depozytów, obciążonych pożyczkami, wreszcie oburza się opinia publiczna, zgorszona widokiem „jadowitego drzewa.“ Skrajna lewica parlamentu kilkakrotnie już próbowała skrępować giełdę. Ostatnie wypadki niewątpliwie pobudzą wołających na puszczy do nowych wystąpień w tej sprawie. Nie łudźmy się. Na szwindlach i bankructwach mówcy wyostrzą sobie języki, przetną nimi wrzód głęboko, ale go nie wyle-

czą. Pozostanie on nadal zbiornikiem zepsutej krwi społeczeństwa. Na lat kilka wróci spokój, wielkie „runy“ nie pojawią się, strach minie, ufność wróci, a potem znowu pewnego dnia wybuchną „krachy,“ „runy,“ w których odważniejsi palną sobie we łby, jak Sommerfeldowie, a tchórzliwsi powędrują do więzień, jak Wolfowie i Maassy. I tak dalej obracać się będzie koło porządku rzeczy.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

XIX.

Odbudowanie grup parlamentarnych. — Groźba rozwiązania. — Walka z prostytucyą.

Zatarg między radykalistami a rządem rozwija konsekwentnie wszystkie swe skutki: z jednej strony skrajni organizują się w odrębne odłamy, przeznaczone specyalnie dla obalenia gabinetu, z drugiej — rząd grozi rozwiązaniem Izby. Od czasu ostatnich wyborów grupy istniały tylko nominalnie, nie miały bowiem żadnej racyi bytu, dopóki hasłem lewicy była „koncentracya republikańska.“ Obecnie zaś zajęta jest odbudowaniem i odgraniczeniem dawnych swych grup. „L'extrême gauche“ i „La gauche radicale“ są właśnie zajęte obecnie tą pracą przygotowawczą, a prasa ogłosiła już kilka zebrań. Doświadczenie, zdobyte podczas pięciu okresów prawodawczych, które Rzeczpospolita widziała, okazuje, iż metoda grup parlamentarnych jest znakomita dla obalenia gabinetów i że dla żadnego innego celu nie jest przydatna.

Kwestye, na których skrajna lewica ma zamiar prowadzić systematyczną walkę z rządem, będą, o ile można sądzić z oświadczeń jej członków, następujące. Na pierwszym planie stoją reformy społeczne, gdyż dalsza bezczynność pod tym względem mogłaby odciągnąć znaczną ilość wyborców do obozu robotniczego, który ostatnimi czasy silnie wzrasta we Francyi. Ruch ten daje radykalistom do wyboru: albo być wyprzedzonymi, albo też iść za nim, pozując nawet na jego kierowników. Odrzucenie przez senat kilku praw robotniczych dało już Clemenceau możność wyrażenia gróźb rządowi. Polityka ta będzie i nadal dla radykalistów najważniejszem narzędziem odzyskania i utrzymania wahającej się popularności. Na kwestyę rozdziału kościoła i państwa, którą Dreyfus ma wkrótce jeszcze raz przedstawić, w chwili obecnej zwrócona będzie mniejsza uwaga, gdyż radykaliści liczą w znacznym stopniu na poparcie prawicy dla dopięcia swych celów. Prawdziwa bitwa wydana zostanie — zdaniem *Eclair'a*, *Radical'a* i in. — na projekcie rewizyi konstytucyi, który wkrótce ma być przedstawiony. Skrajna lewica spodziewa się ugrupować koło tego projektu wszystkich członków prawicy, którzy nie przystąpili formalnie do Rzeczpospolitej, wszystkich deputowanych bulanżystowskich i nareszcie wszystkich radykalistów, którzy wyrzekli się tej reformy jedynie z bojaźni bulanżyzmu. Zresztą nikt nie ma żadnych złudzeń co do losów projektu: wiadomo bardzo dobrze, że gdyby gabinet obecny był obalony sprawą rewizyi, żadne nowe ministeryum z tą reformą w programie nie mogłoby być utworzone, ale rozbudzonoby w ten sposób potężną agitacyę polityczną i zdobyto znakomite hasło dla przyszłych wyborów: rewizya w widokach reformy społecznej. Ta formuła pozwoliłaby zarazem rewizyonistom wszelkich odcieni obracać się dowolnie pomiędzy zupełnem zniesieniem senatu i jego wyborem drogą powszechnego głosowania. W ten sposób radykaliści chcą poprawić swą sławę, podszarpniętą przez dotychczasową bezczynność. O ile prawica zechce maczać ręce w tej kombinacyi, trudno, rozumie się, przesądzać; zauważymy tylko, iż staje się ona rozjemcą położenia i że podczas ostatnich obrad z powodu sprawy Lafargue'a powstrzymywała się ona od głosowania, co znowu dzienniki monarchiczne w ten sposób objaśniają, iż rząd nie daje prawicy dowodów tak obiecywanej przychylności; przeciwnie, ma ją prześladować dla przypodobania się radykalistom, jak to wypada z procesu, wytoczonego biskupowi z Aix. Niesłychana ta wrażliwość prawicy wywołana jest poczuciem dogodności położenia, bo trudno istotnie dopatrzeć się ducha prześladowczego w tym akcie samoobrony ze strony rządu: na grzeczny nadzwyczaj okólnik, wystosowany przez Fallieres'a z powodu wypadków rzymskich podczas ostatniej pielgrzymki, biskup z Aix odpowiedział brutalnem kopnięciem nogą.

Rozumie się, prawica pochwyciła ten pozór, aby zdobyć sobie niezależność i dogodniej prowadzić targi z walczącemi stronami, rządem i radykalistami. Co się tyczy umiarkowanych, to odpowiadają oni na groźby tych ostatnich żądaniem rozwiązania Izby. Pierwszy myśl tę wypowiedział znany polemista, Emanuel Arène; pochwyciła ją natychmiast cała prasa oportunistyczna, głosząc następujące hasło: „stabilite ou dissolution.“ Arène objaśnia w sposób następujący swe żądanie: Stanęliśmy ostatnim razem przed wyborcami z programem, który zawierał dwa tylko punkty: jedność republikanów i stałość rządu. Wszyscy wyrzekliśmy się dawnej polityki grup i pod-grup, wszyscy skarciliśmy to „polowanie na portfele,“ które bulanżyści i ich stronnicy potrafili tak dobrze przeciw nam wyzyskać; otóż, jeżeli nie umiemy zostać w pojednaniu, jeżeli nie chcemy zachować rządu, który ma odpowiadać za nieśmiałość lub złą wolę senatu, to powróćmy przed wyborców, weźmy ich na sędziów sporu i żądajmy wraz z nowym mandatem nowego programu.

Prasa oportunistyczna wymaga więc od gabinetu, aby, powołując się na niemożność rządzenia, zwrócił się do senatu o rozwiązanie Izby. Otóż umiarkowani tem bardziej liczą na pomoc senatu, iż właśnie przeciw niemu skierowana jest kampania radykalistów. Plan ten takie już ma powodzenie, że nawet *Temps*, wprawdzie w wyrażeniach nader mglistych, powiada o „środku stanowczym,“ któryby się nasunął w razie, gdyby większość się rozproszyła i wystawiła przez to na niebezpieczeństwo stałość rządową. Znajdujemy się tu już nie wobec zdania osobistego, lecz wobec zorganizowanej kampanii, która ma swe hasła i groźby. Objaśnia się to tylko niesłychaną śmiałością ministra spraw wewnętrznych, który chciałby się wynieść po nad konieczne warunki ustroju parlamentarnego i mówi o rozwiązaniu, gdy ktoś szepnie o opozycyi. Byłoby to zresztą bardzo na rękę Constansowi, który na pewno nie zatrzymałby się przed żadnymi środkami dla zdobycia sobie istotnie grzecznej i posłusznej Izby.

Policya francuska zajęła się obecnie poważną pracą oczyszczenia Paryża od utrzymańców i postawienia tamy wznoszącym się falom prostytucyi. Jest to w znacznym stopniu praca Danaid. Pomimo silnych prześladowań, pomimo surowych artykułów kodeksu, armia występku znajduje wciąż dla mglistych swych dzieł zastęp tak liczny, jak poprzednio wytępiony. Mamy bowiem przed sobą nie jakąś powierzcho-

---

PRZED WYROKIEM

chwila z życia kobiety

H. Krzemieniecką.

Tęsknota darła ją szponami. On jutro udaje się w podróż, przed odjazdem go nie spotka. Powoli zaczęła rozróżniać przedmioty, na które patrzyła. Obraz przedstawiał wnętrze chaty wygnańców. Ubóstwo, cierpienie, nędza. Pomyślała sobie, że w tej chacie mogłaby być bardzo szczęśliwa.

Czy on zrozumiał, co się w niej działo? Wieczorem przyszedł; ruchy miał ożywione, w głosie drgały dźwięki radosne. Oczy jaśniały jakimś gorącym blaskiem, w twarzy jej zatapiał chciwe spojrzenia. Czoło mu promieniało.

Irena siedziała zmęczona i smutna, trzymając na kolanach małą córeczkę. Rysował dziecku jakieś zwierzęta, rozprawiając z panem Tomaszem. Napomknął coś o niewoli, jaką macierzyństwo obarcza kobietę, o potrzebie surowego postępowania z dziećmi.

— A jednakże one mi są droższe nad szczęście samo — wymówiła cicho w zamyśleniu.

Mąż zabrał go do swego gabinetu na jakąś konferencyę biurową. Irena chodziła po pokoju zadumana. Jakiś wewnętrzny niepokój gnał ją i nie pozwalał ani chwilę zatrzymać się na miejscu. Nakoniec ukazali się.

— Oddaję ci gościa — rzekł mąż jowialnie od progu — nie męcz-że go długo: ma jeszcze dużo zajęcia przed wyjazdem.

Stał przy nich: ocierał fularem spoconą twarz i czerwoną szyję, wydymał śmiechem policzki i przewalał się z nogi na nogę. Podali sobie dłonie, wymienili kilka słów zwyczajnych i rozstali się.

W pamięci swej uprzytomnia sobie każdy jego ruch i spojrzenie. Pod czarem tych wspomnień upływały jej nieraz godziny. Działają one na nią jak powolna trucizna. I teraz odtwarza sobie mękę rozłąki i powitanie.

Weszła cichym niepewnym krokiem do salonu. Pamięta, jak konwulsyjnie rzuciło się jej serce, gdy zobaczyła przed kominkiem wysoką postać męzką. Wyciągnęła do niego rękę i usiadła na małej, w rogu stojącej kanapce.

Blada lampa łagodnem światłem oblewała błękitny salon. Na jasnem tle rysowały się linie jego profilu i ciemnowłosa lekko pochylona głowa. Wokoło cisza. Męża w domu nie było.

Przyszło jej na myśl, że rodzice, wydając córkę za niemiłego jej człowieka, naprzód już stwarzają podobną sytuacyę. I ogarnął ją cierpki niesmak.

On w roztargnieniu opowiadał wrażenia z pobytu w stolicy, oddawał ukłony od znajomych. Głos jego drżał lekko, przejęty rozkosznem wzruszeniem, czoło jaśniało gorącą bladością. Może on także, w czasie długich godzin rozstania, dnie i noce myślał o tej chwili?

Powstał i zbliżył się do niej, jakby ciągnięty nieprzepartą siłą. Zdawało się, iż chce ją ogarnąć ramionami, przycisnąć do stęsknionej piersi. Ona siedziała posępna i nieruchoma. Niewymowna gorycz i niezadowolenie zalewały jej piersi.

Rozmowa rwała się co chwila. Słowa z trudnością przeciskały się jej na usta. Gardło jej zdławił jakiś kurcz spazmatyczny i nadawał głosowi dziwny dźwięk, głuchy, stłumiony i nieprzyjemny.

Mąż powrócił nareszcie. Siedział przy stoliku, gruby, krótki, z obwisłym podbródkiem i nabrzękłemi niezdrową tłustością policzkami, palił cygaro i popijał herbatę.

— Możnaby sądzić, żeś się zakochała — zauważył, patrząc na żonę, po której twarzy mknęły bladość i rumieńce.

Próbowała uśmiechnąć się drgającemi

wną chorobę: tkwi ona głęboko i krąży wraz z krwią całego organizmu. Jeżeli ją z jednego miejsca wypędzicie, wnet się na innem pokaże. Nie mówimy nawet o tego rodzaju zadowolonych łotrach, którzy uważają prostytucyę za konieczność społeczną. Cień, który konieczność ta rzuca, jest dostateczny, aby w oczach ludzi uczciwych zohydzić wszystkie obecne czystości i niepokalania. I nie wykręcajmy się odpowiedzią, iż „my temu nie winni.“ Jesteśmy wszyscy solidarnie winni za wszystkie upadki, niesprawiedliwości i upodlenia, które się odbywają. Nie wierzymy, rozumie się, w środki prześladowczej mądrości dla wytępienia prostytucyi. Jest ona skutkiem obecnego ustroju społeczno-ekonomicznego, siostrą najemnictwa i ludności zbytecznej, w którą wchodzi jako część składowa. Dla wywołania tego skutku współdziałają wszystkie czynniki społeczne. Policya francuska nie stawia sobie zresztą tak obszernych zadań; chce ona przynajmniej ukrócić utrzymańców i tu już napotyka niezliczone przeszkody. Około nieszczęśliwych ofiar prostytucyi uwija się obecnie 50 tysięcy tych łotrów w samym Paryżu. I wytępić tego nie sposób! Mianowicie dzięki pokrewieństwu zjawisk granice między legalnem „souteneurstwem“ tak się zlewają, iż trudno nawet dać przybliżone określenie utrzymańca. O trudność tę rozbija się i obecnie projektowane, świeże obostrzenie prawne. Co za wspaniałe światło pada stąd na teraźniejszy ustrój! Naprzód ostrożna burżuazya zastrzega sobie, iż prawo do domów prywatnych zaglądać nie będzie. Orzeka ono, iż „souteneurem“ jest ten, „kto żyje z prostytucyi ułatwianej na drodze publicznej.“ Jest to chwalebna ostrożność, bo iluż to mężów żyje z prostytucyi swych żon wprost brutalnie dla zdobycia pieniędzy i posad? A jeżeli posuniemy się jeszcze o krok dalej, to wpadniemy w tak niebezpieczne odmęty, iż lepiej jest ostrożnie je omijać: obejrzyjcie się wkoło na całą tak zwaną inteligencyę, na tych doktorków, adwokacików, którzy na nic nie są przydatni — we Francyi jest ich moc nieskończona — i którzy mogą żyć jedynie dzięki posagom; gdyby w powyższem określeniu wypuścić wyrazy: „na drodze publicznej,“ to czyż ich geszefta małżeńskie nie podchodzą w zupełności pod tę regułę. Ależ oni pracują? Tak, i najordynarniejszy „souteneur“ ukrywa swój sposób życia pod jakiemś rzemiosłem, wprawdzie nie adwokata i doktora, lecz blacharza lub ślusarza. To też prawo machnęło ręką, gdyż wątpi o własnej skuteczności.

L. W.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Możnaby posądzić hr. Kalnokego, który w mowie tronowej cesarza (on ją naturalnie redagował) zbudził niewiarę do obecnego pokoju, a w swej własnej starał się umocnić wiarę, że w tej dwujęzyczności miał jakiś cel ukryty. Zagadka jednak wyjaśnia się daleko prościej. Austryacki minister spraw zagranicznych chciał wyjść z szablonu zapewnień pokojowych i włożył w przemowę monarszą kilka wyrazów powątpienia, ale spostrzegłszy nazajutrz, jakie groźne skutki wywołała ta malońka dawka goryczki, usunął ją zupełnie ze swego sprawozdania, a nawet zastosował antidotum. Więc dziś znowu urzędowym poglądem Austryi jest optymizm. Ktoś słusznie zauważył, że można być wobec dzisiejszego położenia zarówno szczerym optymistą, jak pesymistą, zależnie od tego, na jakiej wysokości staniemy. Jeśli na małej, odsłaniającej tylko szczupły widnokrąg chwili obecnej — jak to czynił Salisbury, rzeczywiście nie widać żadnej chmurki; jeśli zajmiemy nieco podniesione stanowisko — jak Rodini — widzimy już ciemne obłoczki; a jeśli wzniesiemy się wysoko i — jak cesarz Franciszek Józef — ogarniemy wzrokiem przyszłość, pociemnieje nam w oczach. Otóż hr. Kalnoky przekonawszy się, że monarchę umieścił na obserwatorium zbyt wysokiem, sam osunął się znacznie niżej.

Bez elegijnych słów cesarza nie znalazłaby może tak szerokiego posłuchu plotka *Wiener-Tageblattu*, za którą mu wytoczono proces karny, twierdząca, że Franciszek Józef w rozmowie z Jaworskim miał wyrazić wątpliwość o pokoju skutkiem klęski głodowej w Rosyi.

Minister Gautsch z głębi serca wydobył i ofiarował słoweńcom perłę germańską. Gdy od niego domagali się w parlamencie praw dla swego języka, oświadczył im, że mowa niemiecka musi być wspólnym organem ludów austryackich i że one z niej odnoszą wielką korzyść. Wyznanie to nie przekonało słoweńców, a młodoczechom dało wdzięczny temat do całego szeregu artykułów przeciw ministrowi.

Tymczasem zdobyli oni w kraju nową pozycyę. Do rady gospodarczej miasta Pragi zdołali wprowadzić swoich wyłącznie przedstawicieli.

Sejm niemiecki rozpoczął swoje posiedzenia. Na pierwsze danie otrzymał od rządu budżet, w którym mieści się kilkadziesiąt milionów marek świeżych wydatków na wojsko, a zwłaszcza na artyleryę. Właściwie ogólna ich suma przenosi 100 milionów, ale ma być zapotrzebowywana częściowo. Czy sejm na te ofiary się zgodzi? Za rządów ks. Bismarka nie byłoby w tym względzie żadnej wątpliwości: natychmiast kanclerz zbudowałby jakieś nieistniejące baraki we Francyi przy granicy wschodniej, zsumowałby jej wojsko po swojemu i wyliczył olbrzymie sumy, kazałby narodowo-liberałom widzieć w chmurze wielbląda — i większość głosująca za nim byłaby gotowa. Caprivi tych sztuk nie używa; zdaje nam się wszakże, że również potrafi przedstawić grozę położenia w „zapewnionym pokoju“ i żądane miliony otrzyma. Zresztą cesarz rzuci w potrzebie swoją wolę, która jest prawem. Tak przynajmniej kiedyś napisał w albumie monachijskim: *suprema lex, regis voluntas* (najwyższem prawem wola króla). *Hamburger Nachrichten*, organ Bismarka, które wykryły ten aforyzm, usiłują nim dyskredytować Wilhelma II w opinii ogółu, pamiętnego na swą konstytucyę. Mniejsza o samo zdanie, ale pysznym jest ten Bismark, który jako kanclerz przy każdej sposobności dowodził przedstawicielom narodu, że wola króla powinna być najwyższem prawem, a teraz dobywa miecza, a raczej języka w obronie konstytucyi. Czy też kto wynajdzie w tym człowieku jedną zasadę, której on by się nie sprzeniewierzył, z wyjątkiem samolubstwa?

Powstanie w Brazylii przybiera coraz szersze rozmiary i zdaje się, że wkrótce Fonseca odegra tam rolę Balmaceedy, a członkowie junty rolę kongresistów. Dotąd przynajmniej dramat układa się bardzo podobnie.

Wybrany do parlamentu francuskiego socyalista Lafargue, który siedział w więzieniu, okazał się poddanym hiszpańskim, nieposiadającym praw obywatelskich we Francyi. Wybór też jego zostanie zapewne unieważniony.

---

ustami; ale uśmiech ściągnął wargi kurczowym bólem, zdławiony tak, jak głos.

Wieczór wiosenny. Gwar i turkot. Idą trotuarem obok siebie. Świeży wiatr twarz im obwiewa. On był rozgorączkowany i przygnębiony. Projekty wyjazdu zaczęły już wówczas dojrzewać w jego umyśle. Rozpytywała go o termin, o czas, jaki przebyć zamierza.

— To bardzo długo! — dziwnym jakimś dźwiękiem wyrwało się z jej piersi.

Zatrzymał się badając ją. Ona miała powieki osunięte, wyraz twarzy chłodny i zamyślony.

Spuścił głowę.

— Pani wyjeżdża na wieś na dwa miesiące — wymówił cicho — to też... bardzo długo.

Winszowała mu pomysłu, przypuszczając, iż w podróży pozbędzie się nudy i smutku, który go przygniata.

Szedł obok niej zwątpiały, przygnieciony jakimś niewidomym ciężarem.

— Nie pozbędę się tak łatwo — wyrzekł, a w jego głosie gorącym brzmiała głucha rozpacz i zniechęcenie. Ból mój żyje we mnie; gdziekolwiekbądź pójdę, zabiorę go z sobą.

Wyznania wyrywały mu się. Odetchnął głęboko. Oczy jego zatrzymały się na niej, pełne błagalnej prośby i gorączkowych pytań. Ona milczała.

Na zakręcie pożegnała go obojętnie a życzliwie — i oddaliła się, spokojna i wyniosła jak zawsze.

Za to gdyby był widział, jak powróciwszy do domu i pozostawszy wreszcie sama, rzuciła się na kanapę, ukryła twarz w dłoniach, i długą godzinę siedziała bez ruchu i głosu!

Namiętność potężnym głosem woła w niej o prawa swoje. Natura wzburza się przeciwko bezustannemu gwałceniu uczuć, dławieniu ich naturalnego rozwoju, tłumieniu i powściąganiu we wszelkich objawach.

A co nam wynagrodzi za owe chwile wzruszeń rozkosznych, które stracimy na zawsze. Przeświadczenie spełnionego obowiązku? Zostawi ono człowieka zgniecionym, zmęczonym, wyczerpanym, z wygasłą nadzieją w piersi — do dalszej walki z losem.

Czas tymczasem bieży bezustannym kołem, strząsając w otchłań niebytu nieurzeczywistnione marzenia i chęci, wysuwając nowych ludzi, nowe pożądania i pragnienia. Ustąpić zaś innym swoich praw do życia, samemu go wprzód nie używszy — to straszne!

Miłość, to najpierwotniejsze, najpotężniejsze i najżywotniejsze uczucie. Praw tych mu nie przyznają. Jest ono starem — odrzucają dla osiągnięcia celów drobnych, siłę upatrując w tem, aby je lekceważyć.

Po co i dlaczego te męki? Czemu nie zerwie nienawistnych pęt i nie stanie otwarcie obok człowieka, którego kocha?

Gdzie się dwa serca kochają, a dwa umysły pojmują, tam małżeństwo jest święte i bez błogosławieństwa, trwałe bez gróźb przymusu, mocne bez kar za zerwanie.

Co może wzbronić dwojgu ludziom, którzy się kochają, podać sobie dłonie i pójść razem przez życie całe?

Irena zadaje sobie to pytanie i widzi, że pomiędzy śmiałością pojęć, a urzeczywistnieniem ich leży jeszcze przepaść cała.

Idee swobody musnęły ją swem skrzydłem, zna je, nawet uważa za słuszne; ale jest całą dziedziczką z krwi i kości oraz wychowanką starych tradycyj. Niepodległość przeciwko przyznanym formom usprawiedliwia w innych, sama wzdryga się przed nią.

Opinię świata lekceważy — tak się jej wydaje. Przynajmniej z uśmiechem niedowierzania słucha sądów stronniczych lub zaślepionych, powierzchownych a surowych lub pobłażliwych a bezzasadnych, które są w codziennym obiegu i posiadają wysoki kurs w kółkach jej towarzystwa. A jednak utrata szacunku zraniłaby ją dotkliwie. Czuje, że pogardliwe spojrzenie sparzyłoby ją jak policzek, że brutalne słowo ukąsiłoby jak gadzina, że miotałoby się w mózgu i nigdyby przed niem spokoju nie

BADANIA NAUKOWE.

KAPITALIZM A DZIENNIKARSTWO.

VI.

Lecz droga krzyżowa na tem się nie kończy. Prowadzi ona do przeklętej otchłani: wyczerpania i wyjałowienia. Kapitalizm w dziennikarstwie, podobnie jak w innych zakresach działalności wytwórczej, wyrobił z czasem drobiazgowy system środków i środeczków do wyciśnięcia jaknajsumienniejszego i najprędszego wszystkich soków z każdego talentu. Poczytność pisma zależy od oryginalności stylu, zwrotów, tematu. Człowiek, zarobkujący piórem, po kilku latach bezwarunkowo „wypisuje się," staje się nudnym i jałowym. Oddał wszystko, co posiadał, kapitaliście, który to zamienił na odsetki od swego kapitału. Można postąpić z nim tak samo, jak czyni każdy przedsiębiorca z wycieńczonym robotnikiem: odrzucić go niby wyciśniętą cytrynę. Pochlebiacz zysków ogląda się teraz za nową maszyną piszącą, która tryskałaby świeżością i młodością. Naturalnie nie będzie on zaglądał pierwszemu lepszemu przechodniowi, jak koniowi w zęby — nie dlatego, aby poważał jego godność ludzką, ale ponieważ to nie doprowadziłoby do celu. Organizuje on inne szczególnego rodzaju łowy na zwierzynę zyskodajną i nastawia sidła. Tu należą konkursy, które zajęły miejsce, zgodnie z duchem gospodarstwa wymienno-towarowego, dawnych turniejów pomiędzy minstrelami. Sędziowie, zasiadający w wyroczniach konkursowych i z dumą przeglądający powieści, próby fejletonów itd., w swej naiwnej prostocie ani spodziewają się, iż są zwykłem popychadłem w ręku przedsiębiorcy i stręczycielami nowego towaru poddańczego. Kapitalista wywiódł ich w pole, bo uderzając o słabe struny ich duszy, zaprzągł do bezpłatnej pracy nad swoim dobrobytem. Nasi prostaczkowie łudzą się, iż wywiązują się z ciążącego na nich obowiązku społecznego i wyszukują talenty, ażeby dalej rozwijać literaturę narodową. Nie! Spełniają oni inną rolę; niby wyżły węszą, czy gdzieś nie ukrywa się nieznany hołysz z iskrą talentu. Wreszcie wyłowiono coś na pożarcie bóstwom kapitału. Wśród okrzyków i reklamy przedstawia się wybrańca publiczności, która, oszołomiona i odurzona, biegnie kupować świeży towar, podobnie jak smakosz spieszy do nowego transportu ostryg. Jeden kapitalista przed drugim usiłuje wyzyskać odkrytą kopalnię myśli i uczucia. A jak szybko umieją oni ją wyżyłować, moglibyśmy powołać się na świeży wypadek u nas. Jedna z obław, urządzonych przez kapitał wyzyskujący niwę literacką, wynalazła Rodziewiczównę. Nie był to talent głębszej myśli i uczucia, ale raczej gadatliwa pensyonarka, odgadująca, jaką piosnkę śpiewać należy, aby się spodobać. Gdyby pensyonarce pozwolono wyrosnąć na kobietę, wyszedłby talent niezbyt głęboki, zaspakajający jednak jako tako bieżące potrzeby średnio wybrednego ogółu czytelników. Lecz czyż kapitalista zwraca uwagę na takie względy? Nawet kiedy prawo zabrania mu wyzyskiwać dzieci, mimo całej tchórzliwości swojej będzie fałszował metryki lub narażał się na kary. Nie zawaha się więc przed wyjałowieniem nowoodkrytej siły literackiej. Rodziewiczówna kończyła wypracowania powieściowe jedno po drugiem, póki nie wyczerpała swej pensyonarskiej wiedzy i nie zaczęła życia zamieniać na teatr maryonetek. Wtedy zrozumiano, że z jagody wytłoczono wszelkie soki... To samo czeka każdego rzemieślnika i najemnika literackiego — po dłuższym czasie.

Do takiej to ziemi obiecanej prowadzi droga krzyżowa, na jaką doba wszechfrymarczenia rzuciła potomków dawnego lirnika wioskowego! I z jakiem uczuciem stąpa po niej każdy, niełudzący się co do swojej przyszłości nieodzownej? Daudet w jednym z mniejszych utworów przedstawił człowieka ze złotym mózgiem, który codzień wyjmuje kawałek wypełniającego mu czaszkę kruszcu szlachetnego, rozmienia go na jadło i ubranie dla siebie i jakiejś kuropatwy, poślubionej przed ołtarzem. Wie on, że z wyjęciem ostatniego źdźbła czeka go śmierć, a jednak — jednak systematycznie i świadomie przyspiesza ten koniec. Przedstawmy sobie teraz człowieka przekonań, który najlepsze swoje uczucia i najwznioślejsze myśli rozprasza okruszynami w łamach czasopism, bez innego wpływu na umysły, prócz dawania czegoś w rodzaju kawy czarnej po obiedzie; wszystko to zaś czyni, ażeby kupić smarowidło dla swojej piszącej i tworzącej maszyny, z każdym dniem zdradzającej psucie się i wychodzenie z mody, a nadto kapelusze i szmatki dla kwoczki, zwanej kobietą XIX wieku. Poetka każe tym ludziom wsłuchiwać się w głuchy szum idących po sobie wieków i ciche szmery tajemnych narodzin wielkich idei, życie codzienne tymczasem czem innem zaprząta głowę inteligentnego wyrobnika i inną troskę wiesza mu nad czołem; wreszcie przeciw znużeniu od obracania się w dreptaku pisarskim, wyjałowieniu myśli i rozstrojowi nerwowemu każe szukać pociechy w narkotyku. Absynt staje się ideałem życia.

> ...Idź i pij absynt! Gryzące cię bóle
> Uciekną przed nim, jako mary senne,
> On twoje skrzydła rozwinie sokole,
> Iż nad twe nędze uleciсz codzienne.
> I niewolniku ty, roboczy wole,
> Poczujesz nagle na tym łez padole,
> [illegible]

Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że przyszła ludzkość, głębsza w swoich sądach i wyrozumialsza, tę truciznę, rujnującą zdrowie fizyczne, tępiącą po chwilowem podbudzeniu polot myśli, wykoszlawiającą popędy, nazwie jedną z największych filantropek obecnego stulecia, większą, niż wszyscy zbiorowo wzięci członkowie towarzystw dobroczynnych, wynalazcy tanich zup i syci a zadowoleni obłudnicy, prawiący o wstrzemięźliwości. Chłop rolny dał nam poglądy swojej warstwy na gorzałkę w formie znanej powszechnie gadki, która opowiada, jak dyabeł wynalazł pędzenie wódki, ażeby zrujnować gospodarnego a dostatniego kmiecia. Zaiste, alkohol jest zgubą dla chłopstwa zamożnego, zarazą obcą warunkom jego bytu, która przychodzi z zewnątrz. Inaczej rzecz się ma wśród warstwy najemniczej, pracującej umysłowo, czy fizycznie. W narkotyku topi się ponurą myśl o jutrze, wyjałowienie umysłu, znużenie organizmu. Jest on potrzebą dla istoty ludzkiej, zdenerwowanej warunkami zarobku, czemś, co tkwi w samym trybie jej życia i stosunkach bytu. Gdyby warstwa ta bawiła się w klechdy, wysnułaby inny rodowód gorzałki. Jakiś dobrotliwy a miłosierny duch wyuczyłby człowieka, jak ma on dobywać alkohol, a krytyka społeczna do tego obrazu dorzuciłaby jedynie pewien szczegół, że ów wrażliwy sercem demon był niedołęgą umysłowym, który, zamiast zerwania pęt, radzi w śnie i nieprzytomnej bezwładności zapominać o smutkach i dolegliwościach.

Dotychczas zatrzymywaliśmy się nad męczennikami pióra. Żeby wypłynąć z dzi-

---

miała, że obrzucona pogardą tych ludzi, których zdania nie szanuje i nie ceni, czułaby się sponiewieraną i zbezczeszczoną.

Ale po za pogardą świata i własną przed nią słabością wstrzymuje ją jeszcze poczucie pewnej sprawiedliwości. Za co ma cierpieć mąż? Życie tego człowieka przywiązane jest do jej życia. Spokój jego i cześć na niej się opierają. Umysły ich nie są do siebie zbliżone, najjaśniejsze strony ich inteligencyi są dla niego niewidzialne: on ich nie oceni i nie pojmie nigdy, są one dla niego w żonie zbyteczne, nawet wstrętne. Cóż stąd? Kocha ją po swojemu, o ile kochać jest zdolny. Ona jest mu niezbędna dla zachowania ładu, spokoju, myśli rozumnej i wiecznie czujnej, dbałej o dobro jego rodziny; dla podtrzymania lepszych skłonności jego chwiejnego charakteru; dla stawiania ciągłego a cichego oporu takim, które mogłyby obfitować w gorzkie następstwa. Gdyby go opuściła, życie jego byłoby zrujnowane.

W wyobraźni jej staje głowa z obrzękłemi, czerwonemi powiekami i kątami ust obwisłymi boleśnie. Czuje, że jej człowieka tego żal bardzo. W pożyciu wspólnem bywają chwile, gdy nienawiść wzbiera w jej piersi, a ona całą mocą musi tamować jej wybuch. Ale skąd wie, że jej szczęście posiada większą wartość, aniżeli jego szczęście; skąd ma prawo niszczyć je, aby budować własne?

Nieodpowiedni sobie, złączeni despotyczną wolą, stają dzisiaj naprzeciw siebie jako dwie istoty, z których jedna zabija swym pomyślnym rozwojem drugą. Czy większy zasób inteligencyi, goręcsza wrażliwość, silniejsza moc uczucia, dają moralne usprawiedliwienie, aby na korzyść swą wyssać siły słabszej, niedołężniejszej natury? A jeśli pomyśleć, że tamtej drugiej istocie idzie też o życie; że mu ono dla niej równą jak nasze cenę? Jeśli zważyć cały ogrom cierpienia, jakie przebyć musi, staczając się w przepaść? Czy nie opadną ręce i nie zdrętwieje wola, która pragnie wyssaną krwią przeciwnika własną pomyślność utuczyć.

Nadewszystko zaś wiążą ją do domowego ogniska i czynią niemożebnem opuszczenie go — dzieci. O! dzieci... Od stoczenia się zaś po fatalnej pochyłości powstrzymuje ją czystość instynktów. Nie, ona niezdolna do zdrady, fałszu i ukrywania się. Szczęśliwą może być tylko otwarcie wobec ludzi i własnego sumienia?

Niepewny brzask poranku zaczyna powoli wnikać do pokoju. Na ciemnem tle biało przebijają się okna, widniejąc skąpem światłem. W oddali słychać głuchy turkot dorożki.

Irena leży nieruchomo z zamkniętemi oczami, przejęta niezmiernym bólem. Ogarnia swoje położenie bez wyjścia, a myśli świdrują jej w mózgu i pieką żarem. Słychać stąpania wolne po schodach, dzwonek i otwieranie drzwi. Piąta godzina rano. To wraca z klubu jej mąż.

Biedne jej dzieci! Biedne te małe niewinne istoty, którym do życia prawidłowego trzeba tyle ciepła rodzinnego, takiej atmosfery ciszy domowej, miłości i spokoju. Miłość tę i opiekę mają dzisiaj, ale co będzie jutro? Czem ona ojca przywiąże do domowego ogniska? Co pocznie z sobą, gdy czuje, jak serce jej się wyrywa i myśli odbiegają?

Nie, jeśli on nawet ją bardzo kocha, ona się tą myślą napawać świadomie nie ma prawa. Och, dzieci moje! Wyście pociechą moją, wyście być powinny celem życia jedynym. Dla was żyć warto i warto cierpieć, bo cóżbyście poczęły beze mnie? Kto wasze duszyczki ku światłu skieruje? Kto wasze wątłe ciałka pielęgnować będzie? Czy zrobi to ojciec, dobry może, ale niedołężny i słaby? Kto płacz wasz nocą ukoi? Kto wasze jasne główki do piersi przytuli? Któż was popieści, kto was pożałuje, jeśli nie matka rodzona?

Najdroższe wy moje, najmilsze dla mnie na świecie całym! Czyż kto zrozumie wiele was kochać trzeba? Czyjeż ręce zamienią wam starania moje? Czyż oni wiedzą wiele to dzieci są warte?

siejszego odmętu wzajemnego współubiegania się, trzeba posiadać nie tyle zdolności twórcze, ile umiejętność przystosowania się i ślizgania stylem potoczystym po powierzchni życia oraz samoreklamy, a nadto dobre pazury. Wszystkie te cechy natura dziwnie połączyła w krzykliwym Wiktorze Hugo obok nawskróś kupieckiej umiejętności gromadzenia majątku. Nie dziw też, że burżuazya francuska ujrzała w nim wcielenie najwybitniejszego talentu i najwznioślejszych cnót. Przy braku takiego uzbrojenia człowiek najzdolniejszy spada niekiedy do rzędu kopciuszków, zapracowywa się, licho wynagradzany; wreszcie dochodzi do zupełnego wyczerpania sił swoich w tygodniowym lub miesięcznym wyrobie „wierszy,“ nie mając nawet sposobności wykazania swoich uzdolnień w czemś większem i wykończonem. Wydostają się na wierzch jedynie natury, obdarzone niepospolicie silnemi pięściami. Że pomiędzy nimi znajduje się niejednokrotnie talent rzeczywisty, nie ulega to najmniejszej wątpliwości; lecz równie nie wolno zaprzeczać, że często miernota najnikczemniejsza, obdarzona umiejętnością węszenia i wiedząca, jakie potrącić struny, cieszy się uznaniem szalonem. Co więcej, z takich liczbot składa się coraz wyłączniej orszak wielkości z imioniem, w miarę tego, jak kult Pieniądza wżera się w życie społeczeństwa. Nie możemy powstrzymać się od przeprowadzenia w tej mierze pewnego porównania między produkcyą umysłową a produkcyą dóbr materyalnych. Epoka orgii kapitalistycznej zasłużyła najzupełniej na miano wieku perkalikowego. Zamiast ciepłych, chociaż niewykwintnych samodziałów wełnianych, zjawiła się partacka tandeta bawełniana, zabarwiona w najrozmaitsze desenie, tania, ale słabo ogrzewająca i nietrwała. Taka sama tandeta zapanowała we wszystkich gałęziach spożycia. Wogóle byłoby ciekawe zbadanie porównawcze, jakiej trwałości i użyteczności materyały spożywał człowiek niegdyś a dzisiaj. Tegoczesne produkty lubo bynajmniej nie są jakościowo lepsze, niż dawne, posiadają przecież jednę zaletę najdonioślejszą— rozumie się dla sakwy przedsiębiorczej, mianowicie pozwalają one człowiekowi-najemnikowi zaspokajać potrzeby z mniejszym wydatkiem, a co za tem idzie — czynią zniżkę zarobków mniej dotkliwą a zarazem głębszą. Tanie kuchnie uzmysławiają przewybornie tę dążność. Są one próbą oszukania żołądków, receptą taniego spożycia, umożliwiającą nizkie wynagrodzenie. Czy można wobec tego dziwić się, że przedsiębiorca, przekraczający wciąż prawodawstwo fabryczne i kradnący dziatwie najszczęśliwsze chwile życia, względem tego rodzaju urządzeń filantropijnych okazuje się hojnym ofiarodawcą? Otóż „perkaliki“ zapanowały również w produkcyi artystycznej i dziennikarskiej. Reklama wciąż woła o „wielkich“ ludziach, tymczasem fala czasu, zmiótłszy ich z pośród żyjących, i ich imiona rzuca w przepaść nicości i zapomnienia. Utwory, pisane z dnia na dzień, tworzone z taką samą szybkością, jak zegarki maszynowe i buty fabryczne, obliczone na to, aby posiadały jak najwięcej wierszy i stronic, utwory takie, nawet wychodząc z pod ręki wybitnego talentu, są i muszą być jedynie tandetą. Istotny geniusz słowa i myśli nie zawsze mógłby zabezpieczyć siebie przeciwko tej zarazie partactwa. Gdybyśmy wzięli lirnika wioskowego z epoki obszczyny rolnej, ujrzelibyśmy, że śpiewa on tylko w chwilach natchnienia, kiedy piersi wzbiorą mu uczuciem. Tymczasem istota taka, przesadzona w nasze czasy, a żyjąca z systematycznego sprzedawania płodów swojej wyobraźni, tworzy zgoła odmiennie. Organizm potrzebuje ciągłego zasilania, chcąc przeto zarobić śpiewaniem, trzeba wydobywać głos systematycznie, czy jest po temu ochota, czy nie. Śród takich okoliczności talent zanika zwolna w tandecie.

Zastanówmy się nieco nad tegoczesną wielkością partacką. Z pod pióra jej wyszedł kiedyś utwór, który przypadł do smaku szerszej publiczności. Dobra sprzedaż książki lub powodzenie artykułu jest dla duszy ludzkiej, pokutującej w ciele kapitalisty-przedsiębiorcy, najlepszem świadectwem, że hołysz posiada „talent.“ Bo zresztą dla tegoczesnego możnowładcy cóż lepiej może przemawiać za wartością towaru lub człowieka, niż wysoka cena rynkowa i jeszcze bardziej silne rozchwytywanie przedmiotu? A jeżeli szydzimy z nawyknień wzbogaconego żyda, że pokazując osobliwości, podaje zarazem ich cenę, nie kładźmy tego na karb rasowości, której napróżno poszukiwalibyśmy u żydów sankiulotów. Jest to znamię klasowej duszy burżuazyjnej, probierz sądzenia o wszystkiem, gdy zasada wszechfrymarczenia stanie się podstawą życia gromadzkiego. Każdy Geldbab nie inaczej postępuje, bez względu na to, czy wyprowadza się od Hermanna, Lecha lub Wercingotoryksa. Przedsiębiorca-wydawca widząc, iż hołysz zrobił wrażenie, zaczyna kręcić się około niego i zalecać, rad, iż znalazł dojną krowę, z której można ciągnąć nadwartość. Zamawia u niego pracę, a ponieważ chce zrobić interes, dmie w miechy reklamy. Kto był w Paryżu, ten widział na rogach ulic pozawieszane olbrzymie arkusze, zwiastujące ukazanie się nowej powieści, a reklama ta nawet zewnętrzną postacią przypomina afisze podkasanej muzy szansonetkowej i fortele odkrywców „skutecznego środka“ przeciw pluskwom. Niech „zasłużone“ imię spotyka i nadal przyjęcie coraz milsze i obfitsze, a posiadacz utalentowanej siły nerwowej staje się ogniskiemześrodkowania mnóstwa westchnień, wychodzących z żywych stróżów martwo leżącego kapitału i zwolna wyrasta na znakomitość, której znaczenie zostaje jeszcze podwyższone dzięki instynktom trzodowym świata czytającego. Wprawdzie przyszłość nie będzie się spierała, gdzie wielki mąż perkalikowego okresu dziejów ludzkich przyszedł na świat, nawet erudycya nie będzie biadała, że zatracono imiona kochanek, u których czerpał natchnienie (byłaby to zresztą praca nad siły wobec tego, że rożne Maryle zgodnie z przykazaniami Mamony zamieniły się w przekupki własnem ciałem), co więcej, nie zajrzy do jego utworów. Lecz cóż to obchodzi człowieka, porwanego wirem korowodu Pieniądza i tak zawzięcie żyjącego dniem dzisiejszym, że kpi z naiwnych czerwonoskórców, niechcących odstąpić gruntów plemiennych białemu człowiekowi, ponieważ one należą i do przyszłych pokoleń? On wesół, on rad, kiedy kieszenie jego są napchane papierami bankowymi, a życie splata się w jednem wyuzdanem użyciu, chociażby ze szkodą dla wszystkich. Że w tej pogoni za reklamą marnotrawi on najlepsze siły swojego umysłu i najszlachetniejsze porywy serca, to dlań, dla jestestwa, które wyrzekło się życia w przyszłości, nie ma najmniejszej wagi. Wreszcie staje on na szczycie sławy, którą wymierzyć bardzo łatwo, gdyż okres fetyszyzmu pieniężnego olbrzymio ujednostajnił stosunki społeczne: należy zsumować liczbę stronic i pomnożyć przez otrzymaną płacę akordową za stronicę. Niekiedy jest to już istota, która poznała wszystkie tajemnice blagi i reklamy, a jednocześnie dzięki temu zwyrodniała duchowo i uczuciowo, pozbyła się oryginalności. Ale arcykapłani Mamony wraz z bezmyślną tłuszczą wyznawców głoszą właśnie teraz jej

---

Czyż kto wie, jak radośnie dziecina trzepotała rączkami na jej widok, wyrywając się z ramion niańki? Jakie śliczne uśmiechy i wesołe okrzyki wzniecała swem pojawieniem się? Jak płacz ich niemowlęcy ustawał na sam tylko dźwięk jej głosu?

Czyż kto wie, jak te jasne włoski miękim puszkiem wysypały się na główce, jak zwolna rosły i zawijały się w kędziorki złote? Oni by je mieli szarpać i wyrywać czarną, brutalną ręką? Czyż kto wie, jak te usteczka poczynały do uśmiechu się składać, jak pierwszy raz wyszczebiotały *mama* i wiele radości tem słówkiem wzbudziły?

Z jaką rozkoszą stawała przy kolebce, wpatrując się w zaróżowione snem twarzyczki, na które jedwabiste rzęsy długi cień rzucały; w te marmurowe, jędrne i kształtne ciałka i złote włoski delikatnymi zwojami rozsypane po poduszce! Jakim strachem przejmowała ją domniemana czczość i pustka życia, gdyby jej kiedy zabraknąć miało tych ślicznych istot! Jak przejmująco czuła, że w jej życiu spaczonem i zwichniętem jest to jedyne uczucie, na którem oprzeć się może!

Jutro ona go powita spokojnie, z pogodnem czołem i jasnem spojrzeniem, a po kilku obojętnych słowach rozstaną się z sobą na zawsze.

I zawsze prześladować ją będzie jego twarz blada z zaciśniętemi boleśnie ustami, z wyrazem szyderstwa i powątpiewania w oczach.

Stało się, ofiara postanowiona, tak być musi.

Irena opada na posłanie; wśród szarzejącego się światła dziennego twarz jej widnieje nieruchoma, jakby wykuta z marmuru, blada jak widmo. Kwadranse upływają, a jej wyciągniętej postaci nic porusza żadne drgnienie. Oczy nieruchomo utkwione w jeden punkt. Czuje w piersi chłód przeszywający, ogarnia ją jakaś nieczułość, zobojętnienie, zimno, zimno straszne. Nic już jej nie obchodzi. Zdaje się jej, że już straciła siłę oporu; wszystko zniesie biernie i z poddaniem się.

Cały dzień przeleżałaby tak nieruchomo z przymkniętemi oczami. Czuje w sobie niemoc zupełną i opadnięcie z sił.

— Co mi po tej wrzekomej sile woli? Do czego służą te ciągłe pasowania się i głuszenie uczucia? Walki te ciągłe męczą mię i nużą, a po każdej z nich one powstaje wzmożone jeszcze i coraz potężniejsze. Na co się zdały próżne trudy?

Podnosi się; drży cała jak w gorączce.

— Nie, nie podołam! To więcej, niźli od człowieka wymagać można! Dosyć już kłamać twarzą, słowami, dźwiękiem głosu! Precz z udawaniem! Ja go kocham — kocham!

Szalona! Te słowa powtarzałaś tyle razy, wybuchałaś niemi w ciszy nocnej, rozrywałaś własne serce i dręczyłaś się jak potępieniec. Ale gdy rozum rozkazywał, umiałaś milczeć. Wszystkież twe wysiłki i męczarnie pójdą na marne?

— Kocham go, nie mogę się go wyrzec! Sama ta myśl jest szaleństwem. Kocham go! kocham, a to uczucie wpiło się jak sęp szponami w serce moje, wszystkimi bólami dwóch lat ubiegłych, szamotaniem się wewnętrznem i tęsknotą za nim. Kocham go! całem cierpieniem dni, które wlokły się smutno, bez żadnego słonecznego promienia, całą mocą wybuchów rozpaczy i jęków, które w piersi tłumiłam, wszystkiemi marzeniami memi, wszystkimi zapasami, które z sobą staczałam, wszystkiemi siłami do życia, które stargane zostały, całą mocą energii i woli, które zużyłam, aby z piersi wyrzucić to straszne uczucie — napróżno.

Zespoliło się ono z moją duszą, wcieliło się we mnie, weszło w każdą kropelkę krwi.

I ja mam się go wyrzec?

Jutro go jeszcze zobaczę, na chwilę. Jeśli go nie zatrzymam, spojrzy na mnie swemi smutnemi oczami i odejdzie — na zawsze. Co ja mu powiem?

(D. c. n.).

sławę. I oto stajemy wobec najciekawszego zawikłania. Kapitalista, który w gruncie rzeczy tyle dba o wszelką ideę i zbiór ich w postaci literatury, co okazy trzody chlewnej o filozofię, zaczyna teraz, jakby ogarnięty szałem, uwijać się dokoła wypalonego do ostatniej iskry „wielkiego“ imienia, wyprawiać pląsy najzabawniejsze i prawić w stylu Geldhabowskim najpocieszniejsze pochlebstwa. Lecz niema czynów bezpłatnych za panowania fetysza pieniężnego! Gründerzy wiedeńscy jako przynętę dla bezkrytycznej tłuszczy drobnomieszczańskiej zapraszali do komitetów rozboju akcyjno - spekulacyjnego zbankrutowanych i zdemoralizowanych synków szlachty średniowiecznej; tym hajdukom utytułowanym płacili naprzód gotówką, później więzieniem. Podobnie przedsiębiorca czci twórczość literacką, zadaje sobie przymus wzdychania na temat piśmiennictwa krajowego i urządza obławę jedynie w tym celu, aby „imię“ ukazywało się od czasu do czasu na stronicach jego czasopisma. Nie idzie tutaj, co owo imię napisze, ani czy samo napisze, byłoby tylko figurowało. Niechaj wielkość wyjałowiona tworzy rzeczy najpospolitsze, wszystko będzie umieszczone. W tym stanie rzeczy zamienia się ona na szczególnego pieczeniarza: zgarniać poczyna rentę nie za pracę istotną, lecz wyłącznie za swoje wzięcie i dawny talent. Nie dość tego. Warunki, śród których hołysz się urodził, a te, jakie zdobył, są tak dalece od siebie różne, iż ten i ów dostaje zawrotu głowy. Pieniądz ucieka podobnie prędko, jak przyszedł. Mimo dochodów wielkich, wydatki są jeszcze większe. Cóż robić w tym razie? Czy nie udałoby się jakoś wyzyskać posiadanego imienia? Powstają próby „inżenierki“ powieściowej, fejletonowej i wszelkiej innej. Człowiek z imieniem wyszukuje hołyszów bez imienia i kopciuszków utalentowanych, którzy nie mieli pięści do wybicia się i podaje im plany, a oni je wykończają. Powieść staje się dziełem istot bezimiennych. Lecz inżenier tego rodzaju jest jeszcze za mało dzieckiem swego czasu. Inni już poprostu zakładają fabryczki, a raczej kantory, bezimienni najemnicy w swojem mieszkaniu piszą za nich, a oni na tych robotach kładą tylko swoją firmę. Dochodzi wreszcie do tego, że imiona i firmy, z towarzystw wzajemnej adoracyi i protekcyi zamieniają się na sprzysiężenia cechowe, wspólnie niedopuszczające nowych nazwisk, lecz zaprzęgające je do swoich fabryczek. W Londynie pierwszorzędnej sławy publicyści dostarczają dziennie 8 do 10 artykułów, fejletonów i krytyk właśnie w taki sposób, przyczem rzeczywisty wytwórca otrzymuje tylko dziesiątą część honoraryum, resztę jako nadwartość zabiera firma. Widzimy to samo w nauce i malarstwie. Wiosną 1888 odbył się skandaliczny proces przeciw malarzowi Van Beersowi, który zobaczył cztery obrazy u handlarza w Ostendzie, podpisane jego imieniem, a nie mógł sobie przypomnieć, aby one wyszły z jego pracowni. Wytoczył proces kupcowi. I cóż się okazało. Jeden malarz, Paul Dewitt, złożył następujące zeznanie: „Pracowałem u Van Beersa. Przed laty 8—9 powstało w Paryżu towarzystwo pod jego kierunkiem z celem fabrykowania Van Beersów. Kiedy pryncypał skończył jakiś obraz, polecał nam robić zeń kopie, na których niekiedy robił kilka pociągnięć pędzlem, lecz nie zawsze. Nawet nie raczył sobie zadać trudu i własnoręcznie podpisywać swoje nazwisko, pozostawiał to nam. Według umowy mieliśmy otrzymywać za każdą kopię połowę ceny, lecz spostrzegliśmy, że Van Beers nas oszukiwał; nie chcieliśmy więc dalej pracować inaczej, jak za umówione z góry wynagrodzenie.“ A zatem mamy już nawet bezrobocie wśród najemników artystycznych! Inny świadek, malarz Esman Semenowski, podał szczegóły jeszcze charakterystyczniejsze: „Pracowałem lat wiele u Van Beersa. Wykonywałem też dla niego obstalunki w domu. Wyzyskiwał mój talent, ciągnąc zeń zyski wielkie. Zdejmowałem nietylko kopie jego obrazów, lecz malowałem według własnych pomysłów, co Van Beers podpisywał swojem imieniem i sprzedawał za własne. Cztery obrazy, o których mowa w procesie, pochodzą ode mnie. Wyprodukowałem dla Van Beersa setki płócien.“

K. R. Żywicki.

GENEZA PUSTYNI.

Jakkolwiek już dawniej przekonano się, że głównym czynnikiem powstania Sahary nie było morze — jako to pierwotnie sądzono, lecz wiatr, to jednak kwestyę tę szczegółowo zbadał dopiero w ostatnich czasach uczony niemiecki Joh. Walther *). Praca jego usuwa mnóstwo dotychczasowych, fałszywych mniemań i dowodzi, że dla objaśnienia właściwych Saharze form plastyki nie potrzeba uciekać się ani do jakichś nieznanych sił, ani do pokrycia morskiego, ani do wielkich powodzi, ani do dawnych lodowców, lecz, że formy to są poprostu rezultatem czynników działających do dziś w pustyni. Te same czynniki meteorologiczne, które w naszych szerokościach działają kształtująco na formy powierzchni, znajdujemy również i na obszarze pustyni tylko inaczej skombinowane: zmienia się natężenie ich działania bądź w dodatnimi bądź ujemnem znaczeniu.

Głównym czynnikiem, nadającym pustyni jej właściwe tak różne od innych krain ukształtowanie powierzchni, jest tak zwana przez autora „deflacya“ (zwiewanie); nazwę tę proponuje W. dla odznaczenia obnażającej działalności wiatru w przeciwstawieniu do „denudacyi“ (spłókiwania), która oznacza obnażającą działalność wody. Działanie wiatru jest zupełnie różne od działalności wody płynącej: ostatnie jest zależne od różnic poziomu i działa wyłącznie zgóry na dół. Prócz tego erozya, to jest wyżłabiająca działalność wody płynącej jest przywiązana do linijnego rozkładę nici wodnych, tak iż typem formy powierzchni w krainie erozyjnej jest rozgałęziony nakształt drzewa system dolin z pewnym spadkiem ku morzu. Inaczej rzecz się ma w pustyni, gdzie transport rozkruszonych i zwietrzałych produktów odbywa się wyłącznie siłą wiatru, który w działaniu swem nie jest skrępowany ani stosunkami poziomu, ani plastyki powierzchni, który w jednem miejscu wyrównywa krainę górzystą, w innem wyżłabia kotlinowate zagłębienia lub niszczy całe wyżyny, pozostawiając tylko tu i owdzie pojedyńcze góry stołowe, które też z czasem stają się jego ofiarą.

W usługach „deflacyi“ działa „insolacya“ (działanie promieni słonecznych) i *wietrzenie*: przygotowują one rozkruszony materyał, który następnie wiatr unosi. Główne działanie przypada tutaj insolacyi. Właściwe kontynentalnemu klimatowi pustyni wielkie różnice temperatury między dniem i nocą, wywołując rozszerzanie i kurczenie się skał, rozkruszają je jako skutek insolacyi występuje tak zwana „desquamacya,“ to jest łuszczenie się skał oraz pękanie i rozpadanie się ich na większe lub mniejsze kawałki. W przeciwieństwie do tego mechanicznego zniszczenia skał właściwe, to jest chemiczne zwietrzenie gra w pustyni rolę podrzędną; napotyka się one tylko w miejscach zacisznych, gdzie wilgoć nie ulatnia się zbyt prędko, a więc w cieniu, w zagłębieniach, w szczelinach itp. Charakterystyczne formy np. wyżłobionych głazów, kolumnad, grzybów skalistych zawdzięczają swe powstanie w znacznej części zwietrzeniu.

W niszczeniu skał bierze też udział wiatr, trąc je ziarnkami piasku; wskutek tego powstaje ospowata powierzchnia skał grubo-krystalicznych, wygładzona — jednolitych lub drobno-krystalicznych, powstają utwory podobne do lodowcowych *roches moutonnées* czyli „baranich łbów“; twardsze części skaliste (jak skamieniałości, skamieniałe drzewo, buły krzemienne, skupienia manganowe, żyły kwarcowe i porfirowe) zostają wyswobodzone z otaczającego je miększego środka.

W porównaniu z powyższemi czynnikami wyżłabiająca i unosząca działalność wody ma w pustyni podrzędne znaczenie, nie tak jednak mało, jakby się napozór zdawało; chociaż bowiem deszcz w pustyni pada rzadko, jednak zdarzają się tam od czasu do czasu gwałtowne ulewy; występujące w łożyskach wyschłych potoków (nadi) potężne niekiedy osady szubru są właśnie rezultatem takich ulew i powstających wtedy chwilowych, ale obfitych w wodę potoków. Nieznaczny jest dalej wpływ roślinności na grunt pustyni: brak tu wszelkiego pokrycia humusowego; tylko miejscowa roślinność wywiera pewien wpływ na ukształtowanie powierzchni pustyni, albowiem krzaki chwytają unoszony przez wiatr piasek i wpływają na powstawanie wzgórzy („Neulingi“). W jaki sposób na ukształtowanie pustyni wpływa obficie w powietrzu występująca elektryczność oraz ozon, dotąd nie pewnego nie wiadomo.

Co do klasyfikacyi pustyń, to autor nie odstępuje od zwykle przyjmowanej, odróżnia więc pustynie skaliste, żwirowe, piaszczyste i gliniaste. Przy charakteryzowaniu pustyń skalistych zwraca uwagę na liczne dyslokacye występujące w Egipcie; warunkują one często kierunek dolin i zarysy gór i tworzą podstawę do dalszych zmian pod wpływem wyżej wymienionych czynników. Niezwykle stromo i poszarpane są formy gór granitowych w pustyni; również charakterystyczny jest kształt dolin. Autor czyni uwagę, że dla objaśnienia dolin cyrkowych na Sinai i amfiteatrów w krainach wyżynowych Sahary nie potrzeba przypuszczać dawnego zlodowacenia: działanie insolacyi wietrzenia i zwiewania (deflacyi), jest do tego zupełnie wystarczające. Inaczej niż w krainach granitowych przedstawiają się formy krajobrazu w krainach poziomo uwarstwionych: powstania tak zwanych „świadków“ (zeugen), to jest odosobnionych gór będących szczątkami wyżyny, nie należy bynajmniej przypisywać działaniu wielkich powodzi, lecz jedynie wyżej wymienionym wpływom atmosferycznym.

Pustynie żwirowe są rezultatem zniszczenia, zniwelowania gór i wypełnienia dolin: części twardsze pozostają, miększe zostają uniesione. Rozróżnić należy dwie formy pustyń żwirowych: hammada i sserir. Pierwsze odznaczają się ostrokańciastymi kamykami, leżącymi na powierzchni lub wlepionymi w twardy czerwonawy grunt gliniasty sserir zaś składa się z kamyków zaokrąglonych. Różnica ta wynika stąd, że w ostatnich kamyki zostały zaokrąglone działaniem piasku, w pierwszych zaś są rezultatem rozkruszenia wskutek insolacyi. Hammada pod wpływem działania wiatru przechodzą w sserir.

Pustynie piaszczyste (erg lub igidi w Saharze zachodniej, areg we wschodniej, nefud w Arabii), odznaczają się tem, że ich równa powierzchnia jest pokryta diunami lotnego piasku, które jednak tylko w części są diunami brzegowemi, to jest morskiemi. Materyał tych diun pochodzi raczej z samej pustyni i utworzył się pod wpływem wyżej wspomnianych atmosferycznych czynników. Autor wykazuje, że nie piaskowiec nubijski dostarcza przeważnie materyału na piasek pustyni, jak to zwykle przyjmują, albowiem przez pokrywanie się brunatną skorupą stawia on dziś silny opór czyn-

*) Joh. Walther. *Die Denudation in der Wüste und ihre geologische Bedeutung* według referatu w *Petermanns Mitteilungen* 1891.

nikom burzenia, źródłem tego piasku są raczej bardzo rozpowszechnione w Sabarze skały grubo krystaliczne (granit i t. d.), które pod wpływem insolacyi rozpadają się nadzwyczaj łatwo. Drobne cząsteczki miki i foldszpatu wiatr unosi jako pył, a grube ziarna kwarcu gromadzi w diuny. Pustynie gliniaste (sebcha, szolt) na wybrzeżach powstały wskutek ustąpienia morza, we wnętrzu zaś pustyni zajmują zagłębienia, w które wiatr uniósł wyżej wspomniany pył. Zawartość soli w tych pustyniach pochodzi po części z dawnych mórz, po części ze skał znajdujących się w pustyni.

W. N.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY WIEDEŃSKIE.

15 listopada.

Konstanty książę Czartoryski. — Wystawa teatralno-muzyczna. — Odczyt p. Zolla w Bibliotece polskiej.

Wiedeńska kolonia polska straciła jednego z najwybitniejszych swych członków, Konstantego Czartoryskiego, wice-prezesa izby panów. Nieboszczyk, podobnie jak młodszy brat jego, Jerzy, od młodości wżył się był w stosunki tutejsze, a nawet zajmował się w dawniejszych latach sztuką i literaturą wiedeńską. Obaj bracia od r. 1853—1856 wydawali tu czasopismo artystyczno-literackie „Recensionen und Mittheilungen über Theater und Musik"; jako redaktora naczelnego sprowadzili profesora Karola Lützowa z Monachium. Konstanty Czartoryski ogłosił też szereg prac okolicznościowych, również z dziedziny sztuki i literatury; w r. 1868 wydał broszurę p. t. „Die Gesellschaft der Musikfreunde und ihr Konservatorium," w r. 1876 „Unseres Burgtheaters Glück und Ende." Ta ostatnia praca najbardziej dowodzi, jak ściśle zmarły zżył się z atmosferą i sztuką wiedeńską, które i hrabiego Lanckorońskiego w zbyt silnej może mierze pociągnęły. Czartoryski był przez długie lata prezydentem towarzystwa przyjaciół muzyki (filharmonistów) i jednym z założycieli towarzystwa przyjaciół literatury w Wiedniu. W ostatnich latach jednak wraz z bratem Jerzym porzucił zajęcia artystyczno-literackie i poświęcił się polityce.

Nadchodzi sposobność, przy której tutejsza arystokracya polska wybitny weźmie udział w życiu artystyczno-teatralnem stolicy. Na wiosnę przyszłego roku przygotowują wystawę wielkich rozmiarów i wielce oryginalną. „Wystawa teatralno-muzyczna," o której pisma niejedną już ogłosiły wzmiankę, jest pomysłem księżnej Metternichowej, której wyobraźnia co do zabaw dobroczynnych zdaje się być niewyczerpaną. Naturalnie i teraz dochody przeznaczone są dla szeregu zakładów, o których istnieniu wie chyba fachowy filantrop. Wystawa ta obejmować będzie cztery działy: pamiątki biograficzne, odnoszące się do sławnych muzyków, dramatopisarzów i aktorów, a zatem autografy, portrety, medaliony i literaturę odnośną; instrumenty, rękopisy, druki i dzieła muzyczne; modele teatrów, rekwizyty teatralne, literaturę dramatyczną i krytykę teatralną; wreszcie przedmioty ze wszystkich powyższych kategoryj, etnograficznie ciekawe. Z wystawą łączyć się będzie nieprzerwany szereg produkcyj dramatycznych i muzykalnych. Budują więc osobny teatr, wielką salę koncertową, czyli t. zw. „Tonhalle," prócz tego „Schattentheater" i teatr maryonetkowy. Że zaś to przedsięwzięcie odbywa się pod opieką arcyksięcia Karola Ludwika, a w skład komitetu głównego weszła cała niemal arystokracya wiedeńska oraz najwybitniejsi reprezentanci literatury i sztuki, nie trudno było pozyskać najcelniejszych aktorów i najsłynniejsze trupy teatralne dla zamierzonych widowisk. Odbędzie się więc szereg przedstawień, danych przez głównych aktorów komedyi francuskiej, wystąpi teatr holenderski, angielski, włoski itd. Wystawa ta będzie miała wybitną cechę międzynarodową; nie ma ona bynajmniej na celu apoteozy sztuki niemieckiej, owszem jest to dążeniem komitetu, aby przedstawić każdą narodowość w świetle najkorzystniejszem. Jak się przedstawi sztuka polska, o tem do niedawna nikt jasnego nie miał pojęcia. Z prywatnej pobudki rozmaite grupy artystów i literatów porozumiewały się z rozmaitymi członkami komitetu wystawowego, lecz nie doszły do żadnych wyników dodatnich. Wreszcie komitet zwrócił się do teatrów polskich, przebywających w Wiedniu, z prośbą o energiczne zajęcie się sprawą osobnego oddziału na wystawie i szeregu przedstawień dramatycznych i muzycznych. Obecnie tworzy się właśnie komitet, złożony z arystokracyi, z posłów do Rady państwa, z literatów i artystów polskich w Wiedniu, którzy przy pomocy komitetów krajowych podejmą to zadanie. Zważywszy, że będzie to istotnie wystawa w wielkim stylu, która przyciągnie niezawodnie doborową publiczność całej Europy i że prasa dziś już żywo się nią zajmuje i opis jej polceci specyalnym korespondentom, komitet dołoży zapewne starań, aby teatr, dramatopisarstwo i muzykę polską okazać jaknajświetniej.

W Bibliotece rozpoczął się szereg odczytów tegorocznych. P. Zoll, syn profesora krakowskiego, młodzieniec zajmujący się etnografią, streścił wyniki trzyletnich badań swych nad góralami i mazurami. Wykazał, o ile odmienne warunki klimatu i ziemi wpływają na uformowanie się charakteru tych szczepów. Szczególną ozdobą odczytu były prześliczne, pełne głębokiej fantazyi podania ludowe, zebrane przez prelegenta, a nieznane dotychczas w literaturze etnograficznej. Zwłaszcza w okolicy Zakopanego udało mu się poczerpnąć legendy niezwykłej piękności, tak, że trudno zrozumieć, dlaczego one dotychczas uszły uwadze niestrudzonych zbieraczów. Dwie z nich tłomaczy powstanie błękitnego koloru jezior tatrzańskich w sposób nader poetyczny. Według pierwszej pochodzi barwa ta z ciał jakichś starożytnych wojowników o niebieskawej skórze, którzy pod naczelnictwem dzielnego wodza przed wiekami kusili się o podbicie szczepów góralskich i potopieni zostali w jeziorach. P. Zoll sądzi, że w podaniu tem tkwi jądro historyczne, które warto by zbadać dokładniej. Odczyt jego zgromadził w sali „Biblioteki" liczną publiczność, która z zajęciem wysłuchała wywodów prelegenta.

Stwosz.

KARTKI.

„University extension movement" w Stanach Zjednoczonych. Przed kilku miesiącami *Prawda* zdawała sprawę z „ruchu uniwersyteckiego" w Anglii. Dąży on, jak wiadomo, do zdemokratyzowania wyższego wykształcenia. Grono chętnych osób w jakiemś mieście zwraca się do odpowiednich komitetów przy niektórych uniwersytetach kraju, które wtedy polecają prelegenta. Każdy przedmiot zostaje ukończony w szeregu 12 wykładów, a słuchający ponoszą koszta. Zwykle w pojedynczych miastach istnieją specyalne zarządy, złączone z miejscowemi czytelniami, które przyjmują zapisy, wyszukują środki utrzymania, umawiają się z komitetami uniwersyteckimi itd. Naturalnie, w ciągu dwunastu wykładów niepodobna wyczerpać przedmiotu. Zresztą prelegent nie kusi się nawet o to. Kreśli on punkty wytyczne, pozwalające słuchaczom na dalsze samodzielne prowadzenie studyów. W tym celu wydano mnóstwo odpowiednich podręczników, sprzedawanych po cenie kosztu. Opłata za wykłady jest minimalna. Dostęp ma każdy, bez różnicy wykształcenia, stanowiska społecznego albo płci. Chętni mogą zdawać egzaminy i być dopuszczeni do kursów uniwersyteckich. W r. 1889-90 wykładano w ten sposób w rozmaitych okolicach Anglii do 400 przedmiotów; w półroczu zimowem 1890/1 liczba słuchaczów wynosiła około 45 tysięcy osób.

Ruch ten z Anglii przerzucił się przez ocean do Stanów Zjednoczonych. Od lat dwóch stał się on tu jednym z ważniejszych przedmiotów uwagi publicznej. Z góry można spodziewać się, że przesadzony na ziemię przedsiębiorczych yankesów, naprzód ogromnie wzmoże się na siłach, powtóre zaś ulegnie jeszcze innym zmianom z powodu mniejszej centralizacyi społecznej. Z tego powodu trudno podać wyczerpujące przedstawienie „ruchu uniwersyteckiego" w Ameryce północnej, do tego stopnia rozbił się on na mnóstwo pomniejszych a zgoła od siebie niezależnych. Właśnie skutkiem olbrzymiej przestrzeni kraju zrodziło się pytanie, jak winna być zorganizowana owa demokratyzacya wyższego wykształcenia.

W Baltimore i Buffalo oświadczają się za zupełną niezależnością każdego kółka. Początek tego trybu wykładów daje uniwersytet Hopkinsa. Adams z kilku współtowarzyszami zaczął prowadzić w Baltimore i okolicy lekcye systematyczne kilku przedmiotów najzupełniej na własną rękę. Niejaki Bemis dał pochop do podobnego przedsięwzięcia w Buffalo. Tymczasem w New-Yorku hołdują centralizacyi wykładów w zakresie stanu, żądając, aby wyższe władze szkolne wzięły na siebie główne kierownictwo, drukowanie podręczników itd., rozumie się, zostawiając inicyatywie prywatnej organizowanie samych kółek. Ktoś świeżo ofiarował na ten cel dziesięć tysięcy dolarów. Wreszcie w Filadelfii głoszą za ideałem „narodowym," tj. za centralizacyą ogólno-krajową. Warto zatrzymać się nad wzrostem tej idei filadelfijskiej, jako zjawiskiem nader charakterystycznem dla umysłowości amerykanina. Zrodziła się owa myśl zdemokratyzowania wyższego wykształcenia dopiero w początkach 1890 r. W czerwcu zorganizował się komitet wykładów; pierwsze, z zakresu chemii, rozpoczęły się w listopadzie. A jednak w pierwszem półroczu istnienia (zimowem 1890) wykładano 42 przedmioty i posiadano 55,500 słuchaczów, a zatem więcej, niż w całej Anglii! W grudniu zorganizował się komitet filadelfijski pod nazwą Amerykańskiego towarzystwa dla rozpowszechnienia kształcenia uniwersyteckiego, a zamiary jego znalazły oddźwięk w najdalszych zakątkach kraju.

Od 1 lipca 1891 zaczęło ono wydawać własny organ *University Extension* (miesięcznik, 3 dolary rocznie). Warto tu zaznaczyć, że Towarzystwo oświaty wyższej ma na celu wydanie szeregu podręczników, umożliwiających systematyczne studya bez pomocy nauczyciela w domu. Każdy kurs, odpowiadający fakultetowi uniwersyteckiemu, jest obliczony na lat 4, po 7 miesięcy. Za pewną opłatą, bardzo niewielką na rzecz komitetu zarządzającego, samouk ma prawo zwracać się po informacye do specyalistów, po 4 zaś latach składać egzamin.

LIBERUM VETO.

Dążności kobiet za granicą. — Mózg niewieści jako pokonywający je argument. — Wagi mózgów męzkich.—Bischoff gromiący równouprawnienie kobiet. — Nieszczęśliwe odkrycie, dokonane w jego czaszce po śmierci. — Krótka przemowa do dam. — Jubileusz Brandesa. — Mistrz i uczeń.— Historyk literatury musi być nietylko uczonym, ale i artystą.

Nie ulega wątpliwości, że kobiety w nowoczesnej walce żywiołów społecznych występują również jako osobny stan— pią-

ty, szósty — mniejsza zresztą o numeracyę. Jakkolwiek bowiem ich dążność do równouprawnienia mieści się w dążności szerszej, ogarniającej cały rodzaj ludzki, to jednak obecnie toczą one proces odrębny, w którym domagają się nie udziału w przyszłej likwidacyi i masie upadłości ustroju społecznego, ale praw w organizacyi obecnej. Za granicą proces ten odnawia się ciągle z coraz mniejszą może deklamacyjnością obrony, ale za to z coraz większą siłą składanych dowodów. Przed paru tygodniami skutkiem gruntownego artykułu pani Irmy v. Troll-Barostyani, pomieszczonego w jednej z gazet niemieckich, wywiązała się polemika o.. mózg kobiecy. Przypuszczam, że nietylko dla myślących czytelniczek *Prawdy* jest to kwestya dość ciekawa. Bo nawet chyba te cenne pieścidła, które studyują jedynie „sztukę podobania się," te cudne anioły, które opierzają swe skrzydła w magazynach kosztem długów ojca lub męża, te ideały, które umieją tylko ubierać się i rozbierać, te ponętne „towary," które szukają niezmordowanie rynków małżeńskich, a na rynku — nabywców, te słodkie owoce, które dojrzewają w promieniach pożądliwych spojrzeń i barwią się niemi, te ruchliwe weksle z długim szeregiem żyr i cesyi, te przedmioty niezliczonych licytacyj między kieszeniami — zdaje mi się, nie powinny być obojętne na to, co mądrzy mówią o tym ich organie, bez którego niepodobna ani wybrać gustownej sukni, ani obmówić sąsiadki. Jak wiadomo, jednym z najczęściej przytaczanych argumentów przeciw równouprawnieniu kobiet bywa mała waga ich mózgu, który według Bischoffa jest przeciętnie o 134 gramy lżejszy od męzkiego, Wagner i inni fizyologowie podnoszą tę różnicę do 172, a Topinard do 200 gramów. Co do objętości — jak objaśnia L. Büchner — odpowiada to zawartości dużej filiżanki od kawy. Prof. Meynert, twierdzi, że waga mózgu męzkiego ma się tak do wagi żeńskiego, jak 100 do 90 i że męzki w czwartym, a kobiecy w piątym dziesiątku lat życia osiąga swój najwyższy ciężar. Jednakże śród mózgów męzkich objawiają się również znaczne różnice. Mózg Cuviera np. ważył 1,861 gr., Byrona 1,807, słynnego matematyka Gaussa — 1,492, filologa Hermanna — 1,358, mineraloga Hausmanna— 1,226, a Gambetty zaledwie 1,160, tj. mniej, niż przeciętnego europejczyka, a blizko o 700 gr. mniej, niż Cuviera. To zadziwiające wahanie się ciężaru mózgów męzkich rzeczywiście dostarcza kobietom doskonałego argumentu w obronie swych uzdolnień, ale chyba nigdy nie marzyły one o takim dowodzie, jakiego im dostarczyła mściwa Nemezys. Najtwardszym i najzawziętszym przeciwnikiem emancypacyi i nieubłaganym szydercą mózgów niewieścich był znakomity fizyolog i profesor uniwersytetu monachijskiego L. Bischoff. W filipice przeciw dopuszczeniu kobiet do studyów lekarskich powiada on, że mózg przeciętnego piwosza monachijskiego waży 1,350 gr., a kobiety zaledwie 1,250. W r. 1882 umiera Bischoff; otwierają mu czaszkę, kładą mózg na szale i przekonywają się, że waży... 1,250 gramów, czyli mniej, niż przeciętnego piwosza monachijskiego, a nawet mniej, niż kobiety. Fakt ten dopiero teraz wyszedł na jaw; można przeto mieć nadzieję, że wrogowie równouprawnienia kobiet nie będą już wojowali mózgiem męzkim z obawy, ażeby im po śmierci mózgów nie zważono.

Przypuszczam, że gdyby ta wiadomość przeniknęła do uroczych główek, do których fryzyer z modniarką strzegą dostępu, sprawiłaby naprzód radość, a potem pewne zakłopotanie. Przyjemnie to bowiem usłyszeć, że się nie jest istotą niższą, ale z drugiej strony pięknej damie może się nasunąć uwaga: duży mózg wymaga dużej czaszki; wielka czaszka jest brzydka; urodziwej kobiecie potrzebna mała; więc co robić, aby taką mieć? Dotąd twierdzono, że ukształcenie powiększa mózg, teraz wobec nowych odkryć zdaje się, że go zmniejsza. Czemu ci obrzydliwi mężczyźni, którzy przechwalają się swoją wiedzą, raz już stanowczo nie rozstrzygną tej zagadki. Gdyby okazało się, że Gauss, Gambetta lub Bischoff skutkiem nadmiernego myślenia zredukowali wagę swych mózgów, każda kobieta dbająca o swe wdzięki myślałaby nieustannie — o czemkolwiek, bodaj o zdradzeniu tajemnicy wprawionych zębów swej przyjaciółki lub o najgustowniejszej sukni żałobnej. Jeżeli zaś myślenie szkodzi, w takim razie należy go się tak wystrzegać, jak to czyni gumowy balonik dziecinny. Czemuż czcigodne obywatelki, pragnące mieć jaknajwięcej „pięknych dni," nie mogę zasłużyć na waszą wdzięczność i powiedzieć, co dla was jest lepsze! Oddaję wam tylko to, co znalazłem w nowoczesnym sporze o emancypacyi kobiet, mianowicie, że mózg niewieści z ostatniej walki wyszedł zwycięzko i urąga mózgowi największego swego wroga. Bądź co bądź, troszeczka nie zaszkodzi, więc pomyślcie wesołe panie nad tem, ażebyśmy dobrze bawili się w adwencie, karnawale, poście itd. — jak dotychczas bywało. Od tego mózg zbyt się nie rozrośnie.

A teraz zastanówmy się nad jednym mózgiem męzkim, który, bez względu na to, ile waży materyalnie, waży bardzo wiele duchowo. Jerzego Brandesa uczczono w Kopenhadze wspaniałym obchodem 25-lecia jego działalności. Literatura nasza, którą zaznajomiliśmy my naprzód, a potem inni ze znakomitym pisarzem duńskim, zaciągnęła względem niego dług, który winna spłacić tem, czem jedynie może — wdzięczną pamięcią. Dla Danii posiada Br. podwójne znaczenie, jako polityk i jako autor.

Daleko większe tryumfy odniósł Brandes w Europie jako pisarz, niż w kraju jako polityk. Obok H. Taine'a używa on sławy najznakomitszego krytyka i historyka literatury. Ale chociaż sam się nazywa jego uczniem i wielbicielem, zaledwie kilkoma rysami przypomina mistrza. Pod niejednym nawet względem trudno o większe przeciwieństwo umysłów. Taine jest psychologiem i naturalistą, więc kreśląc dzieje piśmiennictwa, zatapia się w jednostkach i ich najbliższem otoczeniu, postępuje tak, jak powieściopisarz realistyczny. Jego historya stanowi galeryę bohaterów, szereg postaci dokładnie zanalizowanych i oświetlonych. Dla wytłomaczenia ich, bada rodowód, stosunki prywatne, wpływy fizyczne i duchowe, dziedzictwo psychiczne, niemal skład krwi i kości. Nic podobnego nie widzimy u Brandesa, który ludzi maluje jednostronnie, uwydatniając w nich jakiś rys znamienny, głównie zaś podznacza „prądy," ideę ogólne i śledzi je w bohaterach epoki. On stara się przedstawić wodzów myśli w wielkich starciach i w związku z najszerszym światem, Taine — z najciaśniejszym; on wielkim pisarzom podkłada całe tło czasu, Taine — najbliższe warunki życia i działalności. Historyk francuski rzeźbi, duński — wzlatuje wysoko i ogarnia wzrokiem rozległe widnokręgi. Brandes nie jest nigdy badaczem ścisłym, surowego materyału niechętnie dotyka i rad bierze cudzą ręką opracowany. Nieraz nawet popełnia błędy, które zaledwie przypuszczać by można w człowieku tej miary. Tak np. kilkakrotnie udowodniono mu plagiaty. Nie dopuszczał on się ich dla przystrojenia siebie cudzemi piórami, bo przecież ma własno bardzo okazałe, ale zdaje mu się, że architekt, budujący wspaniałe gmachy, nie potrzebuje ogłaszać, kto mu dostarczył cegły lub płyt marmurowych. On jeden ma prawo do uwiecznienia się w tem dziele, inni, jego pomocnicy i dostawcy, mogą pozostać nieznani.

Prace Brandesa miały daleko więcej czytelników, niż Taine'a, chociaż ostatni przewyższa go wiedzą, oryginalnością i talentem pisarskim. Objaw to bardzo zrozumiały, gdyż Taine budzi zachwyt i uczy, a Brandes silnie podnieca. Każda jego książka jest nadzwyczaj gorącą mową, która porywa, olśniewa i nadaje przyspieszony ruch tętnom myśli.

Chociaż może w mniejszym nieco stopniu, a nadewszystko w odmiennym rodzaju posiada również Brandes, jak jego mistrz, talent pisarski. Jest to dosyć naiwne mniemanie, któremu głównie hołdują niemcy, że historyk literatury powinien być jedynie uczonym, ścisłym badaczem. Z takiem uzdolnieniem można układać bardzo pożyteczne raporty i protokóły z przeszłości, ale nie można odtworzyć żywego jej obrazu. Tu potrzebny jest bowiem udział imaginacyi, artyzm, któryby z zebranych gruzów i okruchów odbudował całość. Ustalenie dat, sprawdzenie faktów, ułożenie ich w pewnym czasowym i przyczynowym związku, zdjęcie wiernych miniatur z treści dzieł — to jeszcze nie jest historya literatury, która musi być tworem kunsztu pisarskiego. Brandes raczej poświęcał nieraz ścisłość dla sztuki, niż ów kunszt zaniedbał. Czasem to, co wskrzesił, zmartwychwstało zmienione, ale zawsze żyło. To też żadna z książek przez nas wydanych nie rozeszła się szerzej, niż jego *Główne prądy literatury XIX w.* Nawet po za kołem czytelników *Prawdy* niewiele jest ludzi ukształconych, którzyby tego dzieła nie znali. Czyż więc nie mamy powodu do życzeń przesłanych autorowi w dzień jubileuszu dołączyć swego pozdrowienia?

Poseł Prawdy.

Z D A L A.

Serwituty w kraju północno i południowo - zachodnim. — Tańsza taryfa przewozowa na węgiel.— Rzut oka na nieurodzaj w Rosyi. — W jakim stopniu ta klęska została złagodzona. — Regulacya rynku wewnętrznego. — Śpichrze zbożowe w Rosyi. — Możliwe następstwa nieurodzaju. — Walka z głodem dziś a przed pół wiekiem.

Sprawa służebności, jak wiadomo, stała się już tak dojrzałą bolączką równie dla drobnej (chłopskiej), jak średniej i wielkiej własności w kraju północno i południowo-zachodnim, że interwencya państwa okazała się nieodzowną. Ujawniło się bowiem aż nadto dobitnie, że serwituty, jakkolwiek nie są zobowiązaniem wprost szkodliwem dla rolnictwa, stanowią jednak uboczną dotkliwą dla niego niewygodę: tamują stosowanie doskonalszej techniki gospodarczej, stoją na zawadzie zwłaszcza zaprowadzeniu korzystniejszego płodozmianu lub rozumnej gospodarce leśnej i będąc same przez się zabłąkanym szczątkiem przebrzmiałej przeszłości, w następstwie pociągają za sobą opóźnienie postępu. Wobec tego państwo zarządziło systematyczne a dokładne zbadanie tak istoty i rozmiarów służebności, jak i warunków dokonania pod tym względem reformy — bez ujmy dla obustronnych interesów. Dane statystyczne nie ujawniły się jeszcze i nie stały się przedmiotem wiadomości publicznej, przeto wrócimy do nich później. Natomiast ciekawe są ogólne zarysy przyszłej reformy. Po zbadaniu sprawy na miejscu okazało się, że skala wynagrodzenia włościan za odjęcie prawa służebnościowego nie może być określona na podstawie jakichkolwiek cech ogólnych, np. proporcyonalnie do posiadanej przez chłopów lub właścicieli ziemskich roli. Zamożni włościanie na tem by zyskali, a małorolni stracili. Również i druga cecha nie powinna być zasadą kierowniczą, ponieważ korzyści, ciągnione przez włościan z serwitutów, nie stoją w zależności od rozmiaru dóbr dworskich. Nie ogólna więc norma, lecz obliczenia

szczegółowe dla każdego majątku należałoby wziąć za podstawę rozgraniczeń. Przy określaniu przeto wynagrodzenia, np. za prawo wypasu wypadnie oznaczać liczbę inwentarza żywego u włościan, a następnie rozmiary tej płaszczyzny roli, która przy jej danej jakości będzie zdolna zastąpić utraconą służebność. Taka sama rachuba winna być uwzględniona również w zastosowaniu do wszelkiego innego typu serwitutów. W ten sposób postawiona sprawa okaże się wcale korzystną dla właścicieli, pragnących istotnie wejść na szczebel wyższej kultury gospodarczej. Postęp rolniczy zatem byłby hasłem zamierzonej przez państwo reformy. Ucierpieliby na takiem rozgmatwaniu historycznego węzła tylko ci posiadacze, którzy mniej ważąc ulepszenia techniki wytwórczej, zechcą pozostać przy gospodarce rabunkowej przodków swoich i serwituty obrócili w źródła dochodu, tj. ściągają z włościan paśne, leśne i tym podobne czynsze. Zdarza się bowiem, że w wielu majątkach zwolnionych od służebności dotychczas system płodozmienny nie istnieje, gdy natomiast włościanie płacą paśnego częstokroć do 3 rs. od sztuki. Nie w takim więc duchu reforma będzie przeprowadzona. Czy w tym atoli, czy też w innym, nie ulega wątpliwości, iż rolnictwo chłopskie rzuci raz nareszcie stanowczo i nieodwołalnie na pełną wodę gospodarki pieniężnej i podciągnie je pod wszystkie jej prawa.

Drugiem ustępstwem wymaganiom życia gospodarczego w Rosyi jest udostępnienie przewozu węgla kamiennego przedewszystkiem z zagłębi donieckich. Pierwotne zniżenie taryfy węglowej wyraziło się w znacznem podniesieniu opłaty przewozowej dla węgla idącego z Petersburga do Moskwy — około 9 kop. od puda, zamiast 7, przy jednoczesnem tem większem zniżeniu kosztów transportu tego wytworu, nadsyłanego z zagłębia donieckiego do Moskwy — około 12 kop. od puda, zamiast $16\frac{1}{2}$. Ta folga zresztą trwa w porze letniej od 27 marca do 13 września; zimą się uszczupla i dosięga 14 zamiast 12 kop. od puda, a to w tym celu, żeby przewóz węgla nie wchodził w drogę jesienno-zimowemu ruchowi zbożowemu, który w tym czasie pochłania zdolność przewozową kolei żelaznych. Następnie, żeby ułatwić węglowi donieckiemu dostęp również i do Petersburga, opłata z Moskwy do stolicy nadnewskiej została zniżona z $26\frac{1}{4}$ k. do 14, co odpowiada stawce, wynoszącej $\frac{1}{133}$ kop. od puda i wiorsty i zaledwie pokrywa wydatki dróg na samą tylko eksploatacyę. Wszystkie te dobrodziejstwa powołane zostały ku pomocy współzawodnictwa węgla kopalni donieckich w obrębie przemysłu moskiewskiego—z angielskim węglem, drzewem i naftą, jako paliwem. Nadto, dla zapewnienia donieckiemu szerszego zbytu, zniżono jeszcze opłatę przewozową do południowych portów czarnomorskich — od $\frac{1}{60}$ kop. na bliższych odległościach (do 450 wiorst), przyczem na dalszych z dorzuceniem na 750 wiorst $\frac{1}{100}$ kop., a na przeszło 750 w. — $\frac{1}{200}$ kop. Dla poszczególnych portów południowych stawki te jeszcze bardziej zniżono. Drugi stopień ulg przewozowych przypadł w udziale: węglowi z kopalni uralskich i dąbrowskich — dla pierwszego 4 kop. od puda, zamiast 6,3, dla drugiego 13,55, zamiast 20,51.

Jak z tego widać, zostały uwzględnione—chociaż w różnej mierze — interesy wszystkich trzech zagłębi. Te zniżki i zwyżki przewozowe nietylko mają na celu zysk kopalni krajowych — w szczególności donieckich—ale rugując z rynku moskiewskiego węgiel angielski i ograniczając spożycie nafty, usiłują także zmniejszyć użycie drzewa jako opału fabrycznego. I jest to rozumna dążność, gdyż wywołuje ją słuszna obawa ubezdrzewienia pewnej, leśnej jeszcze dotychczas, części państwa. Te ulgi wszakże nie dosięgają poziomu wymagań właścicieli kopalni donieckich. Za słabe są, żeby pokonać, jeśli nie węgiel angielski, to bodaj dwóch najgroźniejszych wrogów, drzewo i naftę. Z pierwszem zresztą jeszcze łatwiejsza sprawa, bo rozstrzyga tu różnica cen: sążeń kubiczny drzewa (35 rs.) co do jednostek ciepła równa się 110 pudom węgla, kosztującym 25 rs. W zakresie więc różnicy 10 rubli otwiera się dla kopalni dość obszerne pole współzawodnictwa i idzie tylko o przełamanie rutyny fabrykantów. Ale co począć z naftą? W zastępstwie sążenia sześciennego drew (czyli 35 rs.) spożywa się jej jako paliwa nie na 24 rs. (110 p. węgla), lecz tylko na 16 rs. 75. To też ona zwycięzko walczy w Moskwie z węglem, który ceniony jest tam obecnie 22 kop. Przewaga jego nad nią zapewniona byłaby dopiero wtedy, gdyby on wart był nie więcej, niż 15 k. To znaczy, ponieważ koszt przewozu wynosi 12 kop., a produkcyi — 15, przeto, żeby mógł szczęśliwie współzawodniczyć z naftą, przy danej taryfie przewozowej musi być taniej wytwarzany: niemniej niż w cenie 3 k., czyli o przeszło trzy razy taniej. Chcąc zaś ten sam skutek osiągnąć za pomocą tańszego przewozu, należałoby taryfę zniżyć do 5 k. od puda na przestrzeni 1,260 wiorst (na odległości kopalni od Moskwy). Ale w takim razie koleje żelazne musiałyby pobierać $\frac{1}{252}$ k. od puda i wiorsty, gdy sam przewóz kosztuje je znacznie drożej. Takiego stopnia ulga byłaby wszakże dotkliwą i dla skarbu i dla towarzystw kolejowych. Tu właśnie znajduje się Rubikon konieczności, którego nie podobna przekroczyć. Właścicielom kopalni wypada z tem się pogodzić i uznać, że stary system eksploatacyi (rabunkowy) już nie popłaca, lecz potrzeba raczej wezwać na pomoc doskonalszą technikę wytwórczą.

Rozpatrując życie społeczno-ekonomiczne w Rosyi, mimowoli zawadza się myślą o nieurodzaj. W rzędzie spraw bieżących zajmuje on obecnie najpierwsze miejsce: pochłania opinię, uczucia, wolę zbiorową i jednostek — ogarnął ogromny obszar od Rjazania do Tobolska. Zbadano już rozmiary i przewidziano możliwe następstwa tej niedoli, a teraz toczy się z nią zażarta walka państwa i filantropii. Wyniki tej walki, ogłoszone w *Gońcu urzędowym*, są następujące:

Zasiewy oziminy dokonane zostały przy warunkach sprzyjających, a obszar pól obsianych uległ tylko nieznacznemu zmniejszeniu. Nadto, w niektórych guberniach z pomocą udzielonych przez skarb pożyczek gromadzą się nasiona jarzyn. Zwrócono szczególną uwagę na przechowanie w kraju zapasów zboża i zapewnienie najbardziej potrzebującej ludności środków wyżywienia. W tym celu uznano za niezbędne rozwinąć w granicach konieczności energiczny ratunek, bacząc jednak na to, żeby popierając ofiary nieurodzaju, nie dać folgi darmozjadztwu, osłabiającemu wytwórcze siły kraju. Pomoc wyczerpują: utworzone pod przewodnictwem gubernatorów szczególne rady żywnościowe złożone z zarządów — ziemskiego i skarbowego; zalecone składy mąki i ziarna, dla sprzedaży cierpiącym w cenie zaopatrunku i poniżej; przepisy co do warunków wsparć żywnościowych; tani przewóz zboża na zasiew i żywność, jakoteż karmu dla bydła; dozwolony w lasach skarbowych i apanażowych wypas, zbiorka leżaniny, chrustu, gałęzi i liści; wzmocnienie zarobków miejscowych (przyjmowanie np. do robót przy budowie dróg moskiewsko-kazańskiej i kursko-woroneżskiej przedewszystkiem dotkniętej nieurodzajem). Do tego wszystkiego dołączono kredyt państwa dla 18 gubernij, na zasiew i żywność — wyrażający się w 31,800,500 rublach pożyczki. Jest nadzieja, że drugie tyle przyniesie miejscowa filantropia. Słowem, najostrzejsze kolce niedoli zostały już, albo będą jeszcze stępione.

„Można i należy spokojnie spoglądać na nieszczęście — wnioskuje *Swiet* — i wspólnemi siłami wyjaśnić, jak wielkie są zapasy zboża, znajdujące się w Cesarstwie, albowiem tylko w ten sposób można dopomódz tak niezbędnemu obecnie zniżeniu cen. Spekulacya, przestrach, w części zaś chciwość ludzka — podniosły teraz ceny zboża do takiego poziomu, na jakim one długo utrzymać się nie mogą.“

I nie są to już pobożne życzenia publicysty. Celem skuteczniejszego zaopatrzenia miejscowości dotkniętych nieurodzajem, ministeryum skarbu zaczęło wydawać dwa razy tygodniowo biuletyny o cenach zbożowych na główniejszych rynkach krajowych i zagranicznych, żeby je w ten sposób zrównoważyć. Co tydzień więc, w piątki, drogą telegraficzną otrzymuje dane aż z 41 punktów. Wiadomości te będą załączone w wydawanych przez departament kolejowy ogłoszeniach o cenach zboża, frachtach i premiach asekuracyjnych. Z dotychczas wydanej 17 października tablicy widać, jaką ona może oddać usługę dla zaopatrzenia głodnych w żywność. Kiedy bowiem przeciętna cena puda żyta np. w Rjazaniu była 120—132 k., to w tymże czasie na stacyi kolejowej Winnica (na Podolu) sprzedawano je po 86—91 kop. Opłata przewozowa z Winnicy do Rjazania obciąża pud 13,88 kop., a więc spożywca rjazański, sprowadzając to ziarno stamtąd, mógłby jeszcze oszczędzić 20—27 kop. na pudzie.

Nieurodzaj tegoroczny skłania państwo do ujęcia w karby wewnętrznego rynku zbożowego, a w takim razie systematyczne ogłaszanie powyższych tabel możnaby już uważać za pierwszy krok pod tym względem. Również i podatek dochodowy, zastosowany z tych samych powodów przez p. Wyszniegradzkiego na jeden rok tytułem próby, będzie bodaj wstępem tylko do głębszej i trwalszej reformy w skarbowości.

Od kilkudziesięciu lat zaniedbane stare środki ochronne z czasów Cesarza Mikołaja I — śpichrze zbożowe *) także stanęły na porządku dziennym i są gorąco popierane przez prasę ruską. P. Panajew w *Swiecie* wystąpił w ich obronie, a *Grażdanin* uzasadnił ich pożyteczność w sprawie zaopatrywania ludności w żywność — uzasadnił cyframi. Rachunek prosty. Włościan w państwie jest przeszło 30 milionów. Prawna skala zasobów śpichrza liczy się po 8 cz. oziminy i 4 jarzyn na głowę: na 30 milionów dusz uczyni to 45 milionów czet. zboża zapasowego, co, rachując w stosunku do zeszłorocznej choćby ceny, da 180, według zaś tegorocznej wartości — 500 milionów rubli! Skąd wziąć dzisiaj tak ogromną sumę, przechowywaną ćwierć wieku temu w spichrzach? Mając na podorędziu takie zapasy ziarna ratunkowego, a obecny olbrzymi aparat przewozowy pod postacią kolei na usługi, dziś, gdy wypada organom przeciwgłodowym wystąpić z pomocą zagrożonym, uniknęłoby się przy zakupnie zboża owego tarcia, które nastręcza egoizm i spekulacya przekupniów. Przy stosownem zażyciu polityki taryfowej, w jednej chwili dałoby się przerzucić ów zapas z punktów szczęśliwszych do miejscowości zagrożonych — i przekrwieniem jednych arteryj zapobiegłoby się niedokrwieniu w innych. To też smutne doświadczenie z pewnością nie przebrzmi pod tym względem bez śladu odpowiedniego.

Do połowy klęskę nieurodzaju już zażegnano i o tyle też ona mniej trwoży umysły, ale pozostała jeszcze jej druga połowa, która nie przestaje prześladować wyobraźni publicznej i skłaniać do wycieczek w przyszłości. Pola chłopskie już obsiano oziminą, ale potrzebne są jeszcze środki na siewy wiosenne i żywność — do przednówka pozostało jeszcze $8\frac{1}{2}$ miesięcy. Następ-

---

*) Przywrócone zostały do życia w r. 1840, skutkiem nieurodzaju ówczesnego i utrzymywane były w porządku do 1865.

stwa nieurodzaju gospodarcze i społeczne, uprzytomnione przez *Grażdanina*, są straszne. Złe odżywianie się matek podniesie śmiertelność niemowląt. Statystyka cerkiewna już zaznacza silne wzmożenie się jej w powiatach bardziej dotkniętych nieurodzajem. Za tem idzie — ubytek inwentarza chłopskiego, co jest nieodłącznym skutkiem braku karmi dla bydła. Jeszcze na wiosnę włościanie zaczęli się wyprzedawać z chudoby za bezcen. Obecnie następstwem tego jest drożyzna mięsa po miastach. Najbardziej staniał drób. W okolicach nieurodzajnych gęsi i indyki sprzedawano w jesieni po 30—40 kop., kaczki i kury po 20, 15, a nawet 12. Wyzbycie się jednak z drobiu jest mniej groźne i łatwo może być powetowane przypłodkiem w roku urodzajnym. Daleko cięższej będzie z inwentarzem roboczym i nawozodajnym. Masowa wyprzedaż bydła jest równoznaczna z ruiną gospodarczych podstaw rolnictwa drobnego, bo podkopuje kulturę chłopską, już i tak mocno zachwianą. Włościański ustrój gospodarczy dozna takiego wstrząśnienia, że jego skutki zatrą się chyba dopiero w ciągu 8—10 lat. Zważywszy z drugiej strony na to, że 30-milionowa ludność chłopska jest najgłówniejszem źródłem podatkowem skarbu, *Grażdanin* wyraża obawę, że obecna klęska i walka z nią pochłonie dużo środków i może zachwiać równowagę budżetu — zaleca państwu zaciągnięcie specyalnej pożyczki głodowej. Widząc zaś ogrom złego, które potrzeba bądź co bądź pokonać, skarży się na brak centralnego jednolitego organu państwowego, któryby dla tem skuteczniejszej pomocy ujął w swoje ręce sprawę rozdziału prywatnej zapomogi.

Skarga ta jest przesadzona, a pesymizm organu ks. Meszczerskiego — wygórowany. Jakkolwiek bowiem obecny nieurodzaj jest ponurą kartą w dziejach ekonomicznego życia Rosyi, to jednak, żeby powziąć należyte wyobrażenie o potędze i spójności niesionego ratunku, trzeba to smutne zjawisko porównawczo i na tle szerszej perspektywy dziejowej rozważać. Wtedy się okaże nietylko ogrom środków pomocy, będącej w rozporządzeniu państwa, ale i względna wysokość ogólnego postępu w zakresie narzędzi rozpoznawania klęsk społeczno-ekonomicznych — co większa, nawet niewątpliwy w pewnych gałęziach gospodarki rozwój, w dziedzinie zaś uczuć moralnych, jako nieodzowne jego dopełnienie — silny przybór humanizmu. Olbrzymi obszar państwa pokrył się względnie gęstą siecią linij komunikacyjnych — kolei żelaznych, drutów telegraficznych, powołane zostały do życia organy samorządu (ziemstwa), które prócz innych czynności łączą w sobie funkcye biur statystycznych, państwo ujęło w swoje ręce ster polityki kolejowej (regulacyę kosztów przewozu). Wszystkie te środki, razem wzięte, wobec mocno powiązanych z postępem ekonomicznym różnych niedomagań społecznych, służą i za doskonalsze narzędzia rozpoznawcze tych ostatnich i za warunki szybkiej a spójnej pomocy — co większa, stykając ustawicznie mieszkańców odległych prowincyj ze sobą, nadwątliły mur ich partykularyzmu i potężnie wpłynęły na rozwój solidarności. Świadomość zbiorowa w pewnych zakresach ujednostajniła i łącznie zześrodkowaniem stosunków przedmiotowych w państwie — stały się znakomitą dźwignią jego jednolitości. Ktoś z publicystów ruskich powiada, że nieurodzaj w r. 1840 był inaczej zwalczany, że środki właściwe ówczesnej gospodarce naturalnej, jak śpichrze zbożowe, miały wyższość nad obecnym systemom pieniężnej powinności żywnościowej; że przed pół wiekiem, nie uciekając się do kas skarbu, klęskę zażegnano 6 milionami rubli, majątki prywatne zwydatkowały się na 18¼ milionów — wogóle koszty walki wyniosły 24½ milionów, a filantropia publiczna dała zaledwie 300,000. Wszystko to jest prawdą. Ale pół wieku nowego systemu gospodarczego zrobiło swoje. Wielkie potrzeby wymagają większej pomocy i zresztą sama klęska nosi odmienne cechy społeczne, a warunki zewnętrzne potęgują uczucia filantropijne, uświadamiają lepiej niedomagania z ich następstwami i sprzyjając wzrostowi solidarności, dzięki silniejszemu zespoleniu części organizmu, dają jednocześnie możność ich ujawnieniu. Przed pół wiekiem filantropia musiała dać 300,000 grosza wdowiego, a dziś sam hr. Orłow-Dawydow ofiarować musiał do rozporządzenia Czerwonego Krzyża — aż 100,000 i jeszcze troszczy się o to, żeby tę ofiarę rozdzielono pomiędzy ludnością dotkniętą nieurodzajem w pobliżu jego majątków: w gub. symbirskiej 30,000, samarskiej — 30,000, w woroneżkiej — 20,000, w tambowskiej — 15,000 i orłowskiej — 5,000. Przed pół wiekiem z górskiemi plemionami toczyła się zażarta walka, kozak nie był pewny życia wobec czeczeńca — dziś jedno z wrogich dawniej plemion, kabardyńcy, dzielą się zapasami zboża z mieszkańcem gub. środkowych, który mrze z głodu; chłop żmudzki nietylko pożycza swego ziarna, ale je jeszcze własnym kosztem odstawia do kolei.

Z. Atanazy.

GŁOS W SPRAWIE MEDYCYNY POPULARNEJ.

Od pewnego czasu artykuły z zakresu popularnej medycyny i hygieny, mające na celu zaznajamianie mniej oświeconych warstw społeczeństwa z praktycznemi wskazówkami zachowania zdrowia i zdolności do pracy, w pismach codziennych zjawiają się coraz rzadziej. Wprawdzie i dawniej dobre artykuły tej treści nie ukazywały się zbyt często w prasie codziennej; ale teraz długo na nie wyczekiwać trzeba. Że zaś tego rodzaju literatura jest wogóle potrzebna, a u nas wprost niezbędna, o tem chyba nie wątpi nikt, komu dobro ogółu choć trochę leży na sercu. Nie umiałbym powiedzieć na pewno, dla czego praca na tem polu tak tępo teraz u nas idzie, ale zdaje mi się, że ten niepomyślny objaw zaczął się rozwijać od czasu, kiedy professor Hoyer umieścił w *Gazecie Lekarskiej* (nr. 10 i 11—1891 r.) artykuł p. t. „Kilka słów w interesie „Wszechświata"".

W artykule tym czcigodny professor z początku wspomina o niepomyślnych warunkach materyalnych, w jakich znajduje się *Wszechświat*, oraz przedstawia kierunek i cele, jakie sobie ten organ obrał; następnie w krótkich i jędrnych słowach rozwija swój pogląd na stosunek lekarza do nauk przyrodniczych. Nie mogę odmówić sobie przyjemności powtórzenia niektórych zdań dosłownie. „Nauki przyrodnicze dostarczają lekarzowi nietylko wiadomości pomocniczych, ale stanowią istotny fundament całej medycyny. Lekarz właściwie jest badaczem przyrody w ścisłem znaczeniu tego słowa; bada bowiem sprawy życia w istotach z nader zawiłą organizacyą, odbywające się w warunkach normalnych i nienormalnych. Przywrócenie do stanu prawidłowego chorobowo zmienionych czynności życiowych daje się uskutecznić tylko po dokładnem zbadaniu tych spraw we wszystkich szczegółach. Nie każdy zaś człowiek posiada wrodzone zdolności spostrzegawcze. Należy nauczyć się ścisłego badania naukowego, i wnioskowania, i spostrzegania, a najstosowniejszą drogę dla osiągnięcia tego celu wskazują nam nauki przyrodnicze". Prof. Hoyer przychodzi do wniosku, że lekarze powinni być głównymi opiekunami jedynego w kraju pisma popularno-przyrodniczego i że w tym celu nie tylko sami je prenumerować, ale też zachęcać do abonowania i czytania zamożniejszych obywateli, starając się zarazem podnosić jego wartość swem współpracownictwem. „Już samo sprostowanie dziwacznych pojęć o tem, co się u ogółu uważa za *zdrowe*, a co za *szkodliwe*, mogłoby dostarczyć materyału na cały szereg pożytecznych i zajmujących artykułów. Czy nie byłoby nierównie odpowiedniejszem obrać sobie za pole literackiego popisu miłujący szczerą prawdę organ, czytywany przez ludzi myślących i prawdziwie wykształconych, aniżeli ową prasę brukową, do której niektórzy lekarze mają prawdziwie mistyczny pociąg, pomimo że ta sama prasa na każdym kroku poniewiera nauką i stanem lekarskim? Samo już poczucie godności stanu powinno zwrócić chętnych do popisu literackiego ku odpowiedniejszym pismom. Jaknajszersza działalność popularyzacyjna na polu hygieny, fizyologii, patologii, byłaby nader pożyteczną i pożądaną. Pisma bardziej rozpowszechnione od *Wszechświata* mogłyby dostarczyć najkorzystniejszych warunków dla szybszego rozprzestrzenienia zdrowych pojęć pomiędzy publicznością, lecz nie sądzę, ażeby ta ostatnia mogła mieć istotne zaufanie do lekarzy, pomieszczających swe artykuły w pismach, które ich stan i naukę przy każdej sposobności w brutalny sposób ośmieszają". Nareszcie prof. H. wspomina o korzyści, jaką wyniosą autorowie z pomieszczenia swych prac we *Wszechświecie* ze względu na bardzo znaczną korespondencyę pomiędzy czytelnikami i redakcyą pisma, dzięki której każdy piszący może się łatwo dowiedzieć, do jakiego stopnia praca jego zainteresowała ogół. Oto treść artykułu.

Racya, ani słowa, ale tylko dopóty, dopóki mamy do czynienia z *prawdziwie wykształconymi ludźmi* i autorami, którzy na polu literackiem chcą się *popisywać*, lub też dopóki nam chodzi tylko o podniesienie wartości *Wszechświata* i o artykuły mniej więcej naukowej wartości. A co w takim razie mają począć mniej, niż prawdziwie wykształceni? Jak mają sobie radzić przeciętni kantorowicze, subjekci handlowi, rzemieślnicy, robotnicy itp. ludzie, których wykształcenie w najlepszym razie kończy się na 2—3 klasach gimnazyum, a częściej nawet na szkole elementarnej i którzy następnie dopełniają swą wiedzę czytaniem pism codziennych? Czyż mamy liczyć na to, że owi prawdziwie wykształceni wezmą na siebie obowiązek „sprostowania dziwacznych pojęć o tem, co się u ogółu uważa za *zdrowe*, a co za *szkodliwe*" śród umysłowo upośledzonej swej braci? Może kiedyś to nastąpi, ale nim słońce wyjdzie, rosa oczy wyje. Dlatego też sądzę, że chcąc szczepić praktyczne wyniki nauki lekarskiej śród ludzi mniej wykształconych, chcąc szerzyć wskazówki hygieniczne w tych warstwach społeczeństwa, gdzie brak ich najwięcej się daje spostrzegać, chcąc, jednem słowem, czynić dobro dla samego dobra, nie zaś dla popisu, należy to w danym razie robić w najprzystępniejszej i najwygodniejszej formie: mianowicie pisywać o rzeczach nawskróś praktycznych, unikając bezwarunkowo wszelkich teoryj, hypotez, naukowych dysput, polemik, artykułów w rodzaju niedawnych: „Koch czy Nencki," Ochorowicz i hypnotyzm, szczepienie raka itp. Przeciętną publiczność trzeba zaznajamiać tylko z takiemi wiadomościami, z których ona mogłaby otrzymać widoczną korzyść i wyciągnąć praktyczne wskazówki hygieniczne. Należy pisywać w stylu dla wszystkich zrozumiałym, unikając mniej utartych cudzoziemskich słów i czysto naukowych wyrażeń, lub też je dopełniać stosownemi objaśnieniami. Nareszcie trzeba tego rodzaju prace umieszczać w pismach codziennych i to w tych najlepiej, które mają największą ilość prenumeratorów, gdyż tą tylko drogą możemy cel nasz osiągnąć i mieć nadzieję, że słowa nasze dojdą nietylko do wiadomości uprzywilejowanych materyalnie i umysłowo, ale dotrą także do poddaszy i suteren, a z czasem może zawitają pod strzechę kmiotka.

Czcigodny professorze! Nie mam słów na określenie uczucia i szacunku, jakie dla Ciebie żywię i tej wagi, jaką do Twych słów przywiązuję, ale w tym razie pozwolę sobie postawić swoje *veto*, gdyż chodzi mi o dobro ogółu, które nas lekarzy najwięcej obchodzić powinno i dla którego powinniśmy zrobić ustępstwo, choćby nawet ze szkodą dla korporacyi. Sądzę, że prasa, która „na każdym kroku poniewiera nauką i stanem lekarskim," nie powinna i nie może zadrasnąć poczucia godności naszego stanu, gdyż prasa ta tem postępowaniem tylko sobie sama ubliża, a ośmieszanie stanu lekarskiego i nauki medycznej przez pisma brukowe nie może myślących ludzi nietylko gniewać, ale nawet rozśmieszać.

A teraz recepta na zaskarbienie sobie zaufania tych czytelników pism codziennych, którzy stamtąd naukę czerpią. Oto, niech lekarze, pomieszczający tam swe artykuły, piszą tylko o rzeczach faktycznie stwierdzonych, niech podają prace ogólnie zrozumiałe, niech „odpowiedniejsze“ pisma nie wyrzekną się poważnej krytyki tych prac na polu popularnej hygieny, niech nareszcie *Kuryery* przestaną się bawić w zbyt poważne (!?) artykuły z dziedziny medycyny, a wkrótce ogół przekona się, że nie taki straszny (lub śmieszny) dyabeł, jak go malują (lub karykaturują) i prędko nabierze zaufania do tych, których przed nim najnieracyonalniej i najnierozsądniej ośmieszają.

Adolf Landau

lekarz w Tomaszowie rawskim.

Do powyższego głosu, z którego usunęliśmy kilka ustępów mniej ważnych, dodamy parę słów z naszej strony. Że prof. Hoyer chciałby dla *Wszechświata* zyskać jak najwięcej czytelników, abonentów i współpracowników — przeciw temu nic nie mamy. Że tego nie dokona bez jednoczesnej poprawy organu, który jest zbyt martwym i z potrzebami umysłowości społeczeństwa liczy się mało — o tem jesteśmy przekonani. Co zaś wydaje nam się zamiarem niepożądanym i chybionym, to chęć zmonopolizowania nauki w pewnych wydawnictwach i oddania jej pod straż rabinatu. Złem jest tylko to, że pisma codzienne zamieszczają artykuły niedowarzono, ale bynajmniej nie to, że popularyzują wiedzę. Prawda ogłoszona nawet na afiszu ulicznym nic ze swej godności i wartości nie traci. Nie idzie więc o to, gdzie uczymy, ale czego i jak uczymy. Błędem naszym i szkodą jest nie udział specyalistów w prasie, ale ich brak. Dziennikarstwo całego świata ma w redakcyach i kołach współpracowniczych siły lekarskie, popularyzujące medycynę i dobrze na tem wychodzą. Prof. Hoyer chce skazać nasze albo na milczenie w sprawach ogół obchodzących, albo na szerzenie dyletantyzmu. Odstraszanie zaś lekarza od współpracownictwa w pismach codziennych przypominaniem mu jakiejś w nich poniewierki jego stanu, wydaje nam się niewłaściwe i niesłuszne, bo takiej poniewierki nigdzie nie dostrzegliśmy. Jest to już argument dorobiony. *Rea.*

ODCZYTY.

Na dochód kasy Mianowskiego rozpoczął się szereg dorocznych odczytów publicznych w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa. Otworzył je p. S. Dickstein wykładem ważniejszych momentów z historyi matematyki. W krótkim zarysie prelegent przedstawił zawiązki tej gałęzi wiedzy u ludów pierwotnych, dłużej zatrzymał się nad nieśmiertelnemi zasługami greków i systemem dziesiętnym, określił znaczenie wielkich dzieł, dokonanych na tem polu przez Leibnitza, Newtone'a i in. myślicieli nowożytnych, wreszcie rozjaśnił słuchaczom dręczącą w nowszych czasach umysły zagadkę „czwartego wymiaru“ ciał, albo raczej przestrzeni wielowymiarowej. Matematycznie istnienie brył, posiadających więcej, niż trzy wymiary, jest zupełnie możliwe, chociaż ich w rzeczywistości nie dostrzegamy. Dla uprzystępnienia rzeczy mniej zrozumiałych, p. D. używał tablic, które swojemu przeznaczeniu służyły doskonale. Wykład z dziejów matematyki dla publiczności zwyczajnej jest przedsięwzięciem tak śmiałem, że można prelegentowi powinszować zwycięzkiego pokonania trudności.

P. St. Kontkiewicz mówił z kolei o historyi, istocie, użytku i zasobach węgla kamiennego. Przedstawił on jasno jego rodowód przyrodniczy, główne złoża na kuli ziemskiej, ogólną sumę produkcyi i rozmiary zużycia, wreszcie przypuszczalną długość wystarczania potrzebom ludzkości. Chociaż zapasy tego cennego materyału nie wyczerpią się jeszcze prędko, już dziś należy myśleć o zastąpieniu go innym. Prawdopodobnie spadek po nim weźmie elektryczność. P. Kontkiewicz, jako górnik i kierownik kopalni, mógł mówić z wielką znajomością rzeczy nietylko o samym węglu, ale i o rękach, które go wydobywają. Rzeczywiście, pod tym również względem powiedział wiele rzeczy szerokiemu ogółowi nieznanych.

KRONIKA.

Teatr. Na scenie warszawskiej przedstawiono dwa nowe utwory tłomaczone; Vrchlickiego *Do życia* i Meilhaca *Moja kuzynka.* Pierwszy z nich jest dramatem, deklamacyjnie osnutym na motywie usposobień zniechęcających do życia, które leczy miłość; drugi — poplątaną konceptami francuskimi farsą, która od początku do końca wstrząsa słuchaczów śmiechem. Sensu w niej mało, ale wesołości bardzo dużo.

Niecierpliwość naukowa. Jak donosiliśmy, prof. uniwersytetu krakowskiego, Adamkiewicz, prowadzi w klinice wiedeńskiej doświadczenia z wynalezionym przez siebie środkiem, mającym leczyć raka. W zeszłym tygodniu przedstawił on jednego chorego z „widoczną poprawą.“ Billroth, Kaposi i Dittl, zbadawszy pacyenta, orzekli, iż tej widocznej poprawy wcale nie widzą. Prof. Adamkiewicz postanowił dalej robić doświadczenia. Życzymy mu pomyślnych wyników, a przedewszystkiem niespuszczania z uwagi ostrzegającego przykładu, jakiego dostarczył niedojrzałem odkryciem Koch.

Nauka. W tych dniach nakładem Dunkera i Humblota w Lipsku opuściła prasę nowa książka dr. Ludwika Gumplowicza, prof. uniwersytetu w Gracu, p. t. *Sociologie und Politik.* Autor zastanawia się w niej nad istotą socyologii jako samodzielnej umiejętności i wykazuje, że socyologia jest właściwie teoryą polityki, a polityka niczem innem, jak socyologią zastosowaną. Na podstawie tej teoryi można, według autora, z wielkiem prawdopodobieństwem stawiać wróżby polityczne, tak samo, jak się stawia meteorologiczne. Autor też stosuje swoją teoryę do obecnego położenia państw europejskich.

Sprawy społeczne. Opracowano już całkowicie przepisy dla przyszłej kasy pracowników kanalizacyjnych.

— Podano projekt przeniesienia wszystkich jarmarków wypadających w dnie świąteczne na powszednie, w celu zapobieżenia pijaństwu śród ludności wiejskiej.

— Przytułek poprawczy dla dziewcząt w Puszczy (koło Studzieńca) otwarto 14 b. m.

— Kilka gmin w powiatach: warszawskim, radzymińskim i grojeckim postanowiło założyć spichlerze.

— W ciągu jednego miesiąca (od 13 sierp. do 13 września) kapitał kas oszczędności w całem państwie zwiększył się o 2,866,703 rs. w stosunku do innych miesięcy.

— W Niemczech zawiązało się stowarzyszenie dla podźwignięcia stanu trzeciego.

Szkoły. Sfery wyższe przychylnie przyjęły projekt obowiązkowej nauki rysunku w gimnazyach. Nauczyciele tego przedmiotu będą zrównani w prawach z innymi. O posady mogą się ubiegać ci, którzy ukończyli kursa architektury w Akademii petersburskiej, w instytucie inżenierów cywilnych i innych odpowiednich zakładach.

— Wydział lekarski na uniwersytecie moskiewskim ukończyli w roku bieżącym między innymi następujący studenci: Bielawski Zygmunt, Cyrski Wiktor, Domagalski Stanisław, Dudas Bronisław, Fankanowski Ludwik, Flatau Edward, Hryniewicki Bolesław, Lenkiewicz Mieczysław, Niewiarowski Aleksander, Stopnicki Seweryn, Tukałło Piotr, Ziemacki Franciszek, Żamet Władysław.

— Według zapewnień *Kur. warsz.* projekt otwarcia jeszcze jednego gimnazyum w Warszawie uzyskał przychylne przyjęcie u p. ministra oświaty. W tym celu z funduszów miejskich ma być wyjednany stały roczny etat, tak, iżby ministeryum nie potrzebowało więcej niż około 60,000 rocznie dokładać na utrzymanie zakładu. Sprawa ta ma być przed Nowym rokiem ostatecznie rozstrzygnięta.

— Towarzystwo techniczne w Petersburgu nadesłało p. Jerzemu Khunowi, przełożonemu szkoły rzemiosł w Warszawie, dyplom za udział w wystawie urządzonej w r. z. na zjeździe techników. W tym dowodzie uznania powiedziano, że szkoła przez ścisłe wypełnianie programu dała możność dokładnego obeznania się z zakresem nauk i przyjętymi sposobami nauczania, co wszystko wyświadczyło wielką usługę sprawie rozwoju szkół fachowych w państwie.

— Postanowiono wprowadzić wykład stenografii do kursu średnich zakładów naukowych.

— Główne Towarzystwo kolei ruskich otworzy specyalną szkołę dla maszynistów i ich pomocników.

— Dr. Roman Zawiliński w Krakowie zwrócił uwagę na wielce ujemny wpływ widowisk, szczególnie francuskiego repertuaru współczesnego, „które dają poznać młodzieży (szkolnej) życie z brudnych najczęściej stron, pozbawiają szlachetniejszych aspiracyj i dopomagają do szkodliwej w skutkach, przedwczesnej dojrzałości umysłowej.“ Z tego powodu koło nauczycieli postanowiło zabronić uczniom czterech niższych klas uczęszczania do teatru, nawet [illegible] osób starszych, zaś młodzieży z klas wyższych pozwolić uczęszczać tylko na widowiska stosowne.

— Ministeryum oświaty zgodziło się na propozycyę krakowskiej rady miejskiej, która obowiązuje się własnym kosztem, lecz według planów rządu zbudować gmachy na umieszczenie gimnazyum III i szkoły realnej, wymaga zaś, aby rząd, tytułem czynszu za wynajmowanie tych gmachów płacił 5¼% od całej sumy wydanego na budowę kapitału.

— W lwowskiem gimnazyum niemieckiem sposobem próby zniesiono naukę popołudniową. Odbywa się ona tylko od 8-ej zrana do 12, 1-ej w południe.

Sprawy kolejowe. Budowana obecnie odnoga kolejowa w gub. łomżyńskiej ze stacyi Łapy do Ostrołęki i ztamtąd przez Ostrów do Małkini, otrzyma tabor z sieci kolei Poleskich, posiadających olbrzymi zapas parowozów, wagonów osobowych i towarowych, prawie wcale nie używanych skutkiem słabego ruchu.

— W Petersburgu zwołano zjazd statystyczny przedstawicieli kolei trzeciej grupy. Droga Nawiślańska wysłała delegata.

— Towarzystwa ubezpieczeń na życie „Rosya“ i „Petersburskie“ zaproponowały kolei Nadwiślańskiej ubezpieczenie urzędników na bardzo dogodnych warunkach: 1) Pracownicy będą zwolnieni przy zawieraniu umowy od opłaty kosztów na administracyę za polisę i rozchody pocztowe. 2) Świadectwa lekarskie będą wydawane bezpłatnie. 3) Składki miesięczne obliczone podług ogólnej taryfy, od której urzędnicy otrzymają ustępstwa od kolei 6%. Maszyniści, ich pomocnicy i palacze, oprócz powyższych 6%, korzystać mają z ustępstwa 15%, które w całem Cesarstwie doliczane są do taryfy z powodu niebezpieczeństwa służby. 4) W trzy lata po przystąpieniu do asekuracyi uczestnicy mają udział w zyskach.

— Zwiększenie ruchu towarowego na kolei Wiedeńskiej (szczególnie transportów węgla) zmusiło zarząd do zwiększenia obsługi pociągowej.

— Zarząd kolei Południowo-Zachodnich wypuści dodatkowe obligacye na sumę 6,500,000 z przeznaczeniem na budowę podwójnych torów na niektórych li-[illegible]

Komunikacye. *Kur. warsz.* donosi, iż badane warunki żeglugi na Wiśle i jej dopływach: Bugu, Narwi, Pilicy i Wieprzu przez delegata ruskiego Towarzystwa żeglugi i handlu, które otrzymało koncesyę na eksploatacyę komunikacyi wodnej w Królestwie Polskiem, zrobiły bardzo niekorzystne wrażenie. Spółzawodnictwo około 30 statków parowych i wielkiej liczby berlinek, przedstawia poważną siłę.

Przemysł i handel. *Kur. warsz.* dowiaduje się, iż kopalnie i zakłady hutnicze okręgu dąbrowskiego mają być wypuszczone przez rząd w dzierżawę kapitalistom petersburskim.

— Agenci pruscy w ostatnich tygodniach wykupili od masarzy warszawskich niemal wszystkie zapasy słoniny, płacąc po 7 rs. za pud. Prócz tego kilkunastu rzeźników tutejszych zakontraktowało dostawę tego produktu za granicę w sumie 60,000 pudów.

Zjazdy. Zapowiedziany na r. b. zjazd młynarzy w Moskwie, z powodu nieurodzaju postanowiono odłożyć na rok przyszły.

Wystawy. Towarzystwo architektów ruskich urządza wystawę materyałów budowlanych.

— W Moskwie odbędzie się wystawa przemysłu rybnego.

— W Wilnie otwarto wystawę stałą wyrobów przemysłowych.

— W Petersburgu powstaje wystawa stała przemysłu drobnego.

— W Świdnicy odbędzie się w roku przyszłym wy[illegible].

Wypadki. Na całem morzu Północnem szalał silny orkan, zatonęło kilka okrętów. Telegraf angielski przerwany. W wielu miejscowościach we Francyi ogromne spustoszenia.

— Skutkiem gęstej mgły pociąg koło Charlottenburga przejechał trzech robotników polaków na śmierć.

— Z powodu zetknięcia się dwóch pociągów pod Pontegalera koło Rzymu, cztery osoby zginęły, siedem ranionych.

Kalendarz Ungra, stary i sympatyczny znajomy, wyszedł na świat z datą przyszłoroczną.

Szczęśliwy kraj. Na Islandyi zdarzył się wypadek morderstwa jakiś niecpoń zabił dziewczynę, którą przedtem uwiódł. Na tej poczciwej wyspie, liczącej 70,000 mieszkańców, nie było takiego zdarzenia od 56 lat. My byśmy oduczyli Islandczyków dziwienia się mor[illegible].

Zmarli. Piotr Stalmach, w Cieszynie, pisarz, wydawca *Gwiazdki Cieszyńskiej.*

— Dr. Henryk Hoffmann, prof. botaniki w Giessen.

— Dr. Edward Reichard, chemik, agronom, profesor uniw. w Jenie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Stef. Br. Zbyt ciężkie podjął Pan zadanie, co w rozumieniu tych pism znaczy wyraz „impreza.“ Wbijają bowiem sobie bezmyślnie ten gwoździk, który, zdaje się, od Sienkiewicza przejęły, gdzie tylko znajdą dziurkę stylistyczną.

Panu E. T. w W. W nadesłanej próbie brak nietylko sensu, ale nawet ortografii.

Panu St. P. Więc według Pana autor ten nie umie oceniać należycie obrazów, my zaś jego artykułów? Cóż my na to odpowiedzieć możemy?

Czeladnikowi. Zażaleń bezimiennych nie uwzględniamy.

Panu St. Sz. w Lublinie. Nie rozumiemy wymówki Pańskiej. Jeżeli ktoś pojechał do Brazylii w interesie chłopów, a ktoś inny wyraził się, że jest to „wyprawa po chłopskie runo“ — to co w tem tak zdrożnego? Woli Pan „znamionę“ zamiast „pozorów humanizmu“? Zgoda.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29 Дозволено Цензурою, Варшава 8 Ноября 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.